



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

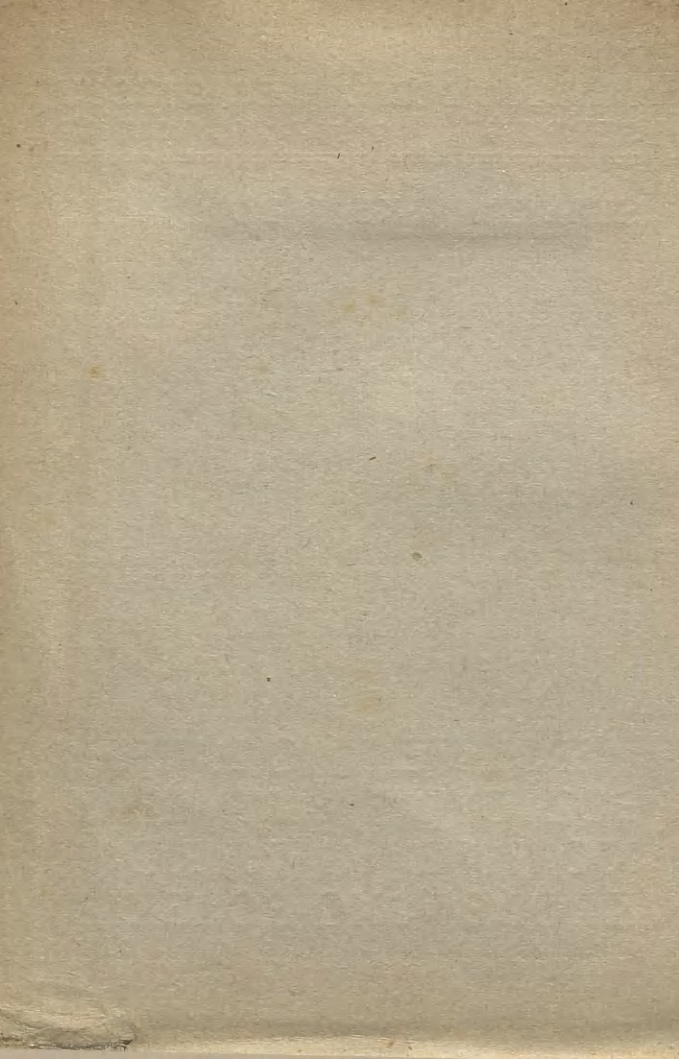
Nr 225

ONISTY
IK VI i VII

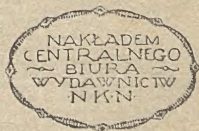
OWSKI



WSPOMNIENIA O BATERYI
POZYCYJNEJ ARTYLERYI
KONNEJ GWARDYI
KRÓLEWSKO-POLSKIEJ



1120





WSPOMNIENIA O BATERYI POZYCYJ-
NEJ ARTYLERYI KONNEJ GWARDYI
KRÓLEWSKO-POLSKIEJ



BIBLIOTECZKA LEGIONISTY
TOMIK VI i VII

POD REDAKCYĄ PROF. UNIW. JAGIEL.
DR. WACŁAWA TOKARZA

STANISŁAW KS. JABŁONOWSKI
WSPOMNIENIA O BATERYI POZY-
CYJNEJ ARTYLERYI KONNEJ
GWARDYI KRÓLEWSKO-POLSKIEJ

225

leg. 107

BIBLIOTECZKA LEGIONISTY TOMIK VI i VII

STANISŁAW KS. JABŁONOWSKI

WSPOMNIENIA O BATERYI
POZYCYJNEJ ARTYLERYI
KONNEJ GWARDY I
KRÓLEWSKO-POLSKIEJ

K R A K Ó W 1 9 1 6

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA WYDAWNICTW
N. K. N.

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ
W KRAKOWIE W PAŹDZIERNIKU 1916 ROKU

P R Z E D M O W A

Stanisław ks. Jabłonowski (urodz. 10/III 1799, zm. 15/VIII 1878), potomek w prostej linii hetmana w. koronnego z czasów Jana III i Augusta II, otrzymał początkowe wykształcenie zagranicą: z początku w arystokratycznym pensjonacie paryskim, a następnie w zakładzie pastora Gerlacha w Genewie, pozostającym pod wpływem słynnej pani de Staël. Po powrocie do kraju w r. 1815 z trudnością zaledwie mówił on po polsku. W r. 1814, na balu w domu jego matki, gdy to Aleksander I i w. ks. Konstanty prześcigali się w uprzejmości dla Kościuszki, przedstawiono go Aleksandrowi. „Czy masz ochotę wstąpić do wojska?” — zapytał cesarz młodego chłopca, a na jego twierdzącą odpowiedź oddał go w. ks. Konstantemu. „Oddaję Ci tego młodzieńca zupełnie w opiekę.” W r. 1816 stawił się

Jabłonowski w pałacu Brühlowskim w Warszawie i zameldował w. księciu jako ochotnik do wojska. Po egzaminie przed generałem Bontemps przydzielono go do konnej baterii pozycyjnej gwardyi w charakterze kadeta. Zaczęły się wówczas dla Jabłonowskiego ciężkie dni próby. Kadeci nosili wprawdzie galonki podoficerskie, nie podlegali karom cielesnym i mogli opłacać starego żołnierza, który za nich czyścił konia i rynsztunek; poza tem jednak zaczynali oni służbę od kanoniera i podlegali wszystkim ograniczeniom towarzyskim, jakie obowiązywały żołnierzy i podoficerów. Musiało być ciężko w rajszuli, na posyłkach, w szkole, na sznurwachu — temu żywemu, porywczemu dziecku magnackiemu, temu wychowankowi pani de Staël. Ale był to i kandydat na żołnierza nie lada, przerażający prostotą i służbistością żołnierską swych rówieśników: Zamojskich, Rzewuskich i Potockich, rozpoczynających podobnie jak i on służbę pod twardą ręką w. księcia. Z jego pamiętnika nie wyczułoby się nawet, że pisał go przedstawiciel

rodu książęcego. Pochodzenie zapewniło mu tylko jeden przywilej, ale wyjątkowy w ówczesnych stosunkach: po niespełna dwóch latach służby został on podporucznikiem w tej świetnej baterii gwardyi, podczas gdy zwykli śmiertelnicy musieli czekać na szlify po 6—10 lat, a czasami doczekiwali się ich dopiero za rewolucyi. W r. 1821 Jabłonowski podał się do dymisyi, zrażony okazaną mu niechęcią w. księcia. W grudniu r. 1830 wrócił on do baterii; 16 marca 1831 r. otrzymał złoty krzyż wojskowy, awansował potem na porucznika i kapitana, na dowódcę wreszcie baterii. 26 maja pod Ostrołęką, gdy korpus Tomasza Łubieńskiego przechodził za Narew, Wł. Zamojski ostrzegł o tem Jabłonowskiego i wezwał go do ustąpienia. „Pocziwy Jabłonowski, Staś, jakęśmy go nazywali, ze zwykłą porywczoscią rzekł do mnie: „To ja tu sam pozostanę. Pierwszy raz dowodzę baterią, nie ustąpię bez rozkazu.“ Wreszcie Zamojski rozkaz wyraźny przyniósł. „Jabłonowski się upierał i, gdzie mógł, raził nadchodzą-

cego nieprzyjaciela. Niebawem tyralierzy moskiewscy poczęli obchodzić wzgórze z jednej i drugiej strony. Nie było rady, trzeba było działa zaprzodkować i niezwłocznie z nimi do mostu spieszyć.“

Reszta życia Jabłonowskiego nie należy już do historyi wojskowej. Na widownię polityczną wyprowadziły go na krótko wypadki krakowskie r. 1848. Schyłek jego życia był końcem żołnierza, za wcześniej, za boleśnie oderwanego od swego zawodu. „Odpychał wszystko, co miało znamię pojednania się z nowymi warunkami, z ustępstwem..., mieniąc to po prostu odstępstwem. Wierzył tylko w jeden środek zdobycia dla narodu przyszłości.“

Pamiętnik jego mówi sam za siebie. Oddajemy te wspomnienia czynów Bema i czynów kanonierów roku 1831 na polach Igań, nad Narwią, pod Warszawą — w ręce naszych żołnierzy i naszych odrodzonych kanonierów polskich, którzy śmiałem posunięciem naprzód swych „Werndli na kółkach“ pod Krzywopłotami wznowili tradycję szarży Bema pod Ostrołęką.

Z pamiętnika Jabłonowskiego opuściliśmy tylko wstęp i parę ustępów osobistych, pragnąc uniknąć zwiększania rozmiarów Biblioteczki.

. . Opisałem początek i organizację artylerii konnej, chociaż zakres mych pamiętników nie tyczy się jak tylko baterii pozycyjnej artylerii konnej gwardyi. W tej, jako żołnierz i podoficer, zacząłem mój zawód wojskowy; z niej postąpiłem na dowódcę baterii 2-giej artylerii lekkokonnej, baterii, która w tak krótko trwającej wojnie jak wojna 1831 r. z kompletu swego od samych kul armatnich trzecią część kanonierów, a dwie trzecie części koni utraciła, a która artylerii nieprzyjacielskiej dziesięć razy liczniejszej zawsze z honorem i korzyścią czoło stawiała.

Bateria więc pozycyjna artylerii konnej gwardyi królewsko-polskiej, po powrocie wojska polskiego z Francyi po kampanii r. 1814 na ziemię ojczystą, uorganizowaną została z tej kompanii artylerii konnej,

która z temże wojskiem z Francyi wróciła; komplet jej stanowiły: 4 jednorogi 20-funtowe i 4 armaty 12-funtowe. małej porcyi¹⁾. W roku zaś 1823 lub 1824 armaty na same jednorogi zmieniono.

Działo każde zaprzężone było 8-miu końmi i miało 12-stu kanonierów do usługi, po trzy jaszczyki, dwóch kanonierów jaszczykowodych, dwóch podoficerów, z tych jednego działowodnego, drugiego zaś konnowodnego. Organizacya tej bateryi odbyła się w Warszawie, gdzie od początku aż do końca swego istnienia stała garnizonem. Miała ona tam własne nowo murowane koszary obok arsenału składowego, dotykające jedną stroną ulicy Nalewki, frontem obrócone do wielkiej letniej rajtshuli na tyle ogrodu Krasińskich, drugim bokiem ciągnąc się wzdłuż ulicy Długiej, a drugi front mając od ulicy Przejazd (o ile mi

¹⁾ Między jednorogiem a granatnikiem ta jest różnica, że pierwszy strzela granatami, a drugi rzuca je. Z pierwszego pocisk idzie dalej, ale nie wiadomo, gdzie pęknie; z granatnika zaś wyrzucony tam właśnie pęka, gdzie tego artylerzysty żąda.

wiadomo, zajmuje owe koszary obecnie straż ogniowa warszawska). Pierwszym dowódcą baterii został mianowany szef szwadronu Schwerin, z rangą podpułkownika. W lecie zazwyczaj ta bateria wychodziła na wiejskie garnizony: i tak w r. 1817 stała w Łęczycy w województwie Mazowieckiem, gdzie razem z brygadą artylerii lekko konnej i półbaterią konną starej gwardii cesarsko-moskiewskiej, pod dowództwem pułkownika moskiewskiego Gerstenzweiga, ćwiczenia poligonowe i artyleryczne musztry ogniowe odbywała. Gdy w r. 1819 ta półbateria konna moskiewska, na całą baterię powiększona, do korpusu litewskiego przyłączona została i ciągle w mieście Grójcu w województwie Mazowieckiem konsystowała, a bateria gwardii polskiej z tą moskiewską baterią brygadę pod dowództwem pułkown. Gerstenzweiga stanowiła, brygada tak uorganizowana do dywizji kawaleryi gwardii litewsko-polskiej wcieloną była. Dano więc rozkaz całej artylerii konnej polskiej, by gromadziła się w okolicach miasta Grójca dla odbywa-

nia razem ćwiczeń artylerycznych pod przewodnictwem pułkownika Gerstenzweiga.

W kilka lat potem w. ks. Konstanty, chcąc przyzwyczaić baterie konne do ruchów kawaleryi, nie kazał dalej gromadzić się całej artyleryi konnej, ale rozdzielił baterie po dywizjach kawaleryi. I tak baterię gwardyi polskiej przyłączył do dywizyi kawaleryi gwardyi, baterię lekko konną 1-szą do dywizyi strzelców konnych, konsystującej w Łowiczu w Mazowieckiem, baterię lekko konną 2-gą do dywizyi ułanów, stojących w Siedlcach w województwie Podlaskiem i jego okolicach. Wszystkie te ćwiczenia i musztry połączone były z wielkimi trudami i częstymi krwawymi przypadkami. Na jednej musztrze baterii gwardyi trzech ludzi rannych zostało: kanonier Trzcionka z 1-go plutonu miał pół prawej dłoni wyrwanej, bombardyer Trojanowski z plutonu 2-go utracił rękę prawą aż po ramię, bombaryder Brzeziński z 4-go plutonu obydwie ręce po ramiona. Przyczyna nieszczęścia była następująca pułkownikowi Gerstenzweig podobało się

do takiej akuratności doprowadzić musztrę artyleryczną, że w linii z 32 dział, rozstawionych frontem, ruchy wiszorów odbywały się z akuratnością ruchów maszyny parowej; a ponieważ komendanci baterii za niedokładność ruchów mocno strofowani byli, rozdawali więc kanonierom wiszorystom stare wiszory, których szczotki mocno wytarte nie dostawały do ścian wylotowych i, do tylnej komory nie dosiegając, powietrze przepuszczały. Kawałki rasy otaczającej proch ładunkowy, przez wystrzał rozszarpane i w dziale zatłone, tak zostawały nieugaszone. Prawda, zdziwienie obudzało, gdy na tak długim froncie, jak front 32 dział, jednostajnie wszystkie wiszory wyskakiwały, w powietrzu się obracały i razem ładunek przybijały; lecz często był krwią ludzką opłacony on śliczny przez żadną artyleryę niedokonany widok. Jednak, gdy na rewii jednej brygady artyleryi lekko konnej z korpusu litewskiego siedmiu kanonierów na raz ręce potraciło, w. książę kazał przyczyny tej katastrofy surowo dochodzić i musztr takowych zakazał. Odtąd

coraz się mniej przypadków podobnych trafiało.

Przypominam sobie, a zdaje mi się, że to było w r. 1820, pod Grójcem miała się odbyć wielka rewia przed w. księciem z Nowego Miasta powracającym. Pułkownik Gerstenzweig dla upiększenia parady kazał zakopać w ziemi fugassy i inne ognie fajerwerkowe, które przez pociągi połączone były z polygonem, gdzie się wznosił śliczny półksiężyc drewniany jako cel, tak urządzony, że gdy granat lub palna kula w niego trafiała, półksiężyc, polygon i te wszystkie fugassy w powietrze wyskoczyć miały. Ale nagłe i częste deszcze tak grunt namoczyły, że, chociaż się ciągle podsypki świeże prochowe nasypywały, prochy zawsze wilgocią nasiąkając, od pocisków ogień niosących zapalone być nie mogły — a tu jak na nieszczęście nad ranem w dzień przyjazdu w. księcia najpiękniejsza pogoda zajaśniała i rewia odłożona być nie mogła. Pułkownik Gerstenzweig, przepędziwszy noc bezsenną, która mu dobrą radę dała, zwołuje starych a dobrze znanych mu podoficerów z gwar-

dy moskiewskiej i na ochotnika za nagrodą 1 rubla wzywa, by który z nich chciał na przeciw całego frontu 32 dział, na ten jeden punkt celujących, tam usadowić się i uważać, żeby, jak z jego własnej baterji działo które wystrzeli, natychmiast podsypki podpalił. Na propozycję taką wzdrygnęli się i najśmielsi z tych dawnych wiarusów. Jeden tylko wachmistrz starszy przystał, z tą kondycją, by mu do tego rubla przydana była kwarta wódki. Otrzymaawszy obietnicę, idzie śmiałym krokiem na śmierć prawie pewną. Pułkownik Gerstenzweig zdumiewa się na taką odwagę; wszelako, widząc, że wachmistrz idzie w płaszczu nowym, woła na niego: „Postój! Ty w nowy płaszcz ubrany? szkoda go — zdejm, weź stary i przetarty!“ Żołnierz rozkaz wypełnił, idzie na swój posterunek i najzgrabniej zapalając podsypki, półksiężyc ów, polygon i wszystkie sztuczne ognie w powietrze wysadza. A wtem baterye, radując się, dowolnym ogniem na wiwat strzelają i pociskami go obsypują.

Jakim trafem, jakim niesłychanem szczę-

ściem podoficer ten ocalony został, do dziś dnia nie rozumiem.

Lecz jeżeli ćwiczenia i polygony z wieloma przypadkami i niebezpieczeństwem połączone były, oprócz tego trudów i pracy było tam nie mało. Cztery baterye konne skoncentrowane zajmowały na kwaterunki wielki obszar w siokolicznych; plutony zaś, w około właściwych sztabów bateryjnych rozlokowane, na każdą rewię, musztrę i polygon zawsze w wielkiej paradzie występując, z powodu wielkiej odległości kwater od punktu zebrania się, Grojca, musiały o 1-ej lub o 2-ej w nocy w największej czystości i porządku z kwater wymaszerowywać, by o 5-ej z rana rozpocząć na placu zebrania się musztrę zwyczajną — których zwykle trzy na tydzień bywało. Ćwiczenia te trwały do 9-ej lub do 10-ej z rana; ledwie więc późno po południu na kwatery wracaliśmy.

A cóż za praca nasza była podczas zimowych garnizonów w mieście stołecznem Warszawie! Raz wraz parady, wystąpienia, defile, warty, inspekcye piesze i konne, in-

strukcye rekrutów, ujeżdżanie koni. Oprócz tego wymagano od oficerów — piśmiennych odpowiedzi na różne kwestye zadane: artyleryczne i teoryi tejże broni. Bateria obowiązana była pełnić służbę publiczną zarówno z szwadronami pułku strzelców konnej gwardyi, jako piąty szwadron tego pułku; chociaż każdy szwadron miał po kilkunastu oficerów, a bateria w swym komplecie tylko sześciu oficerów niższych liczyła. Kapitan najstarszy nie pełnił żadnej służby garnizonowej, jeden z nas wysyłany był za kupnem remont, najmłodszy z rangi szedł na profesora szkoły podoficerów artyleryi przez trwającą zimę; zostawało się więc trzech tylko, którzy ciągle harcowali. Rzadki dzień, żeby można było którego z nas spotkać w Warszawie bez znaków czynnej służby: ładownicy i kaszkietu. To też ta bateria w chwili wybuchu r. 1830 była baterią nad bateriami wyćwiczona, wymusztrowana i zahartowana. Cóż to za widok przedstawiali ci pyszni kanonierzy, cóż za śliczne mieli umundurowanie, jakie zaprzęgi, jakie konie! Nigdy

już Polska takiej baterii spodziewać się nie może! Gadali, skarżyli się na ostrość w. księcia; lecz takiego organizatora z silną wolą i niezmordowanego w pracy nie prędko znajdzie! Polaka nikt jeszcze do zupełnego porządku nie doprowadził, a w. książę tego dokazał. Chciał porządku i doprowadził do porządku. Nie dziw więc, że czyny heroiczne tej baterii, przez zanych dowódców prowadzonej, w wojnie r. 1830 odpowiedziały szesnastoletniej pracy i nauce.

O powstaniu listopadowem nie tu miejsce pisać; dość, że w grudniu r. 1830, po ogłoszeniu dyktatury, bateria otrzymała rozkaz wymaszerowania z koszar i rozlokowania się w ścieśnionych kwaterach na Pradze. Uparkowała się na Wołowym Targu.

Stojąc garnizonem na Pradze, zawiadomioną została o nowem swem przeznaczeniu, t. j. o zmianie kalibru z baterii pozycyjnej o 8 granatnikach 20-funtowych na baterię konną o 6 jednorogach 10-funtowych i o 6 armatach 6-funtowych. W miejscu baterii pozycyjnej gwardyi — otrzymała

imię czwartej lekko konnej, a zarazem dostała rozkaz wymaszerowania do Tarchomina i zmienienia tamże dział swych na działa trzeciej lekkiej pieszej kompanii, pod dowództwem kapitana 1-ej klasy Tomasza Turskiego zostającej, która to kompania wzięła nazwę kompanii 3-ej pozycyjnej.

Wymaszerowaliśmy więc z Pragi do Tarchomina, o dwie mile od Pragi odległego, w mróz 23-stopniowy z wiatrem nadzwyczaj silnym, a przymaszerowawszy na miejsce musieliśmy protokoły spisywać, oddawać działa, wozy, zaprzęże i nawzajem odbierać, tak, że ledwo na 10-tą wieczór do Pragi wróciliśmy. Cóż to był za dzień okropny; lepiejby było stać pod krzyżowym ogniem armatnim, jak cały dzień w takiej porze maszerować; jednak co nakazano, z chęcią wypełnionem zostało, bo serca natenczas były gorące, a dusze pełne nadziei.

Do dnia 6-go lutego staliśmy na Pradze, dnia zaś tego wymaszerowaliśmy na różne strony koło Pragi; bowiem dzień w dzień, nie wiem dla jakiego celu, kwaterunki nam

odmieniano. Dnia 14-go lutego przymaszerowaliśmy do Miłosny, wioski księcia Lubbeckiego, byłego ministra, i tam jeszcze tak, jak w czasie pokoju, sztab naszej baterii zakwaterowany został, a plutony po okolicznych wsiach się ulokowały. Dowódcą od lat kilku po pułkowniku Schwerinie był podpułkownik Chorzewski; do jego więc kwatery wszyscy oficerowie — zwyczajem po bateriach konnych — na obiad się zjeżdżali.

Dnia 17-go lutego, gdy wszyscy u podpułkownika tego na obiedzie zgromadzeni byliśmy, huk armat ze strony Brześcia Litewskiego dał się słyszeć, zapowiadając nam bliskość wojsk nieprzyjacielskich. Zrywamy się od stołu, wsiadamy na koń i każdy czemprowadzaj bieży na swą kwaterę, gdzie zebrane plutony do sztabu prowadząc, już rejterujące wojsko nasze ujrzeliśmy, cofające się ku Grochowu i na Pragę.

Le zaś bateria nie miała żadnego rozkazu wymaszerowania, więc w Miłosnej obozem się rozłożyliśmy, na całą zimę łóżko i ciepłą kwaterę pożegnawszy. Nieprzyjemna

to jest rzecz pierwsza noc obozowa w zimie pod gołym niebem, a zwłaszcza w miesiącu lutym; że nie było podostatkiem słomy dla koni, oficerowie i kanonierzy zmuszeni byli spoczywać na śniegu i gołej ziemi. Tak z jednej strony ogniska kopciły i piekły, z drugiej ciała marzły. Po ruchu całodziennym — zmęczenie nie dozwalało tej nocy spędzić na przechadzaniu się, a dla zimna leżenie było nieznośnem. Cóż więc było robić? Moment się leżało, moment znowu chodziło, byle tylko noc, w tej porze nieznośnie długa, jak najprędzej przeszła. Około godziny 1^{1/2} z rana alarm — każą na koń siadać, działa czem prędzej zaprzęgać, a sześć dział naszych otrzymuje rozkaz wymaszerowania naprzód do wsi Wielkie Dębe. Tutaj zastaliśmy tylną główną straż wojska naszego, mężnie opierającą się żywym nacieraniom wojska moskiewskiego i generała Chłopickiego z głównym swym sztabem. Podpułkownik Chorzewski, dowódca baterji, dostał rozkaz odprzodkowania i rozpoczęcia ognia na lewym skrzydle.

Pierwszy raz bateria była w boju, a jednakowoż na silny ogień nieprzyjacielski z wielką korzyścią i nadzwyczajnem szczęściem odpowiadała. Nikt z baterii ani ranny, ani zabity nie był. Tylko pułkownik z kwatermistrzostwa Chrzanowski, później generał, gdy przybył do baterii, aby pułkownikowi Chorzewskiemu wyjaśnić ruchy wojsk walczących i rozwiniętą mapę w rękach trzymał, od granatu nieprzyjacielskiego, który przelatując tę mapę zapalił, otrzymał mocną kontuzję... W parę godzin potem półbateria otrzymała rozkaz cofania się z odstrzeliwaniem, co bez żadnej straty ani w koniach, ani w ludziach skutecznia aż do wsi Janowa, niedaleko Miłosnej leżącej, gdzie druga półbateria nasza obozowała. Z tą złączywszy się, otrzymaliśmy rozkaz cofania się pod wieś Targówek, o ćwierć mili od Grochowa leżącą.

Stojąc pod Miłosną byłem świadkiem pięknego czynu jednego batalionu z drugiego pułku strzelców pieszych. Batalion ten, w tyraliery po lesie rozsypany, zasłaniał cofanie się naszego wojska, a natar-

czywie przez wielką masę tyralierów party, wychodząc w rozsypce z lasu, formował się w batalion na wielkiej polanie. Śliczny to był widok: widzieć pod silnym ogniem nieprzyjacielskim ruch tego oddziału, który odbywał się z taką spokojnością i akuracnością, jakby na paradzie na placu Saskim. Szkoda, że w. książę tego widzieć nie mógł, cóżby to była dla niego za radość! W tej potyczce między Janowcem a Miłosną dowódca ruchu, generał brygady Józef Czyżewski, został karabinową kulą w ramię postrzelony.

Bateria koło godziny 12 w nocy na leże obozowe pod Targówek przymaszerowała. Dnia 19-go lutego o świcie porucznicy Jabłonowski i Łabanowski otrzymaliśmy rozkaz udania się na posterunki naprzód linii bojowej przed Wawrem. Łabanowski z czterema działami z prawej strony szosy, a ja z dwoma z lewej stanęliśmy. Nadjeżdża generał Chłopicki, rozkazuje Łabanowskiemu udać się do niedaleko stojącego oddziału i rozpocząć ogień; mnie i batalion 2-gi pułku 7-go piechoty liniowej

z sobą bierze. Wyjeżdżamy na górę w lesie, z której całą drogę do Miłosny widzieć można było zapełnioną wojskiem moskiewskiem, tryumfalnie ku Warszawie marszerującym. Muzyki pułkowe dobrze słyszeć się dawały. Generał Chłopicki kazał mi odprzodkować i dać ognia. Na te wystrzały zatrzymało się czoło kolumn moskiewskich; widać było, jak działa swe naprzód wyprowadzali. Był to korpus Pahlena. Według opowiadania dawniej dobrze mi znanych oficerów moskiewskich — kula z drugiego strzału mego tak trafny skutek miała, że zgruchotała nogę naczelnemu dowódcy całej artylerii rosyjskiej, generałowi Suchozanett.

Za nadejściem artylerii nieprzyjacielskiej rozpoczął się gęsty ogień, tak armatni, jako i tyralierski; nam zaś nadeszła w pomoc cała dywizya piecha generała Łymirskiego i rozciągnęła swą linię w poprzek szosy, prowadzącej z Brześcia Litewskiego i Kałuszyna do Warszawy, wzdłuż lasu poprzedzającego Wawrem.

Podczas tej bitwy pod Wawrem postę-

pował drugim głównym traktem od Stanisławowa na Okuniew do Warszawy korpus gen. Rozena, a wychodząc z lasu poza front dywizji Łymirskiego na wzgórze równoległe od szosy, dwie baterie pozycyjne uszykował. Generał Łymirski, bojąc się, by nie był odcięty i otoczony, dał rozkaz odwrotu; więc też i ja zaprzodkowałem i połączyłem się z resztą baterii, która właśnie otrzymała była rozkaz stawienia czoła artylerii generała Rozen. Uformowaliśmy się pod silnym ogniem tejże artylerii i zaczęliśmy strzelać. Lecz z trudnością przychodziło nam odpowiadać na strzały 24 armat pozycyjnych, już w stałym bojowym szyku w górzystej pozycji ustawionych, nam artylerii lekkokonnej, na czystem, niczem niezasłoniętym polu; dlatego więc zmuszeni byliśmy ustąpić tak przeważającemu ogniowi, zwłaszcza, że dywizja Łymirskiego cofała się szosą równoległą od baterii rosyjskich położoną.

Gdy zaś ogień nasz ustał i gdy zaprzodkowany wyszliśmy na szosę, gdzie się z dywizją połączyliśmy, a baterie rosyj-

skie, nie będąc już od nas niepokojone, cały swój ogień ku wojsku cofającemu się zwróciły, odwrót kolumny naszej byłby się zapewne zamienił w smutną ucieczkę, gdyby nie generał Józef Załuski, który, na czele kolumny w poprzek szosy stanąwszy, czoło zatrzymał i cofanie się uregulował. Przez co, w spokojnym ruchu przynajmniej odwrót nasz odbywszy, z głównym korpusem wojska polskiego złączyliśmy się. W tym odwrocie pułkownikowi Chorzewskiemu granat nogę zgruchotał, wskutek czego spadł z konia. Widząc to kanonierzy nasi, pomimo silnego ognia nieprzyjacielskiego, z koni zeskoczyli i zrobiwszy tragi z pałaszy pułkownika do ambulansów zanieśli. Przez cały dzień 19-go aż do późnej nocy ciągle trwała kanonada, szarże kawaleryi i ataki piechoty; bateria zaś, do czynnego działania nie będąc powołana, wieczorem dopiero poza Grochowem, niedaleko żelaznego słupa stanęła. Tam aż do 25-go lutego obozowaliśmy. Porucznik Łabanowski, jako najstarszy oficer, został mianowany dowódcą tymczasowym baterii,

ponieważ pułkownik Chorzewski odwiezionym został na kwaterę swą do Warszawy, gdzie przez trzy miesiące leczył się na otrzymaną ranę.

Dnia 25-go lutego, skoro tylko dzień zaczęło, rozpoczęła się mocna kanonada na całej linii. Bateria nasza podzielona została. Porucznik Łabanowski dostał rozkaz przyłączyć się do głównego korpusu rezerwowego artylerii wojska polskiego, pod specjalną dyрекcyą generała Redla zostającego. Rezerwa ta składała się — oprócz sześciu dział Łabanowskiego — z 40 granatników (haubiców) w r. 1806 na Prusach zabranych, które stanowiły pięć kompanii pieszych, nowo uorganizowanych pod dowództwem pułkownika Łukasza Dobrzańskiego, a usztyftowanych z samych dymisjonowanych dawniej kanonierów, którzy dekretem dyktatora Chłopickiego na początku wojny wydany, napowrót do szeregów przywołani zostali, i z pół kompanii raketników pieszych pod dowództwem kapitana 2-giej klasy Karola Skalskiego. Ja zaś z drugimi sześciu działami podporząd-

kowany zostałem do dywizyi kawaleryi generała Tomasza Łubieńskiego. Pomaszero-
wałem więc na moje przeznaczenie i zameldowałem się generałowi, oczekując dal-
szych rozporządzeń. Gdy czekam, nad-
jeżdża nie pamiętam już który adjutant
generała Chłopickiego, dając rozkaz, by
cała dywizya szarżowała na linie moskiew-
skie. Słyszałem, jak generał odpowiedział:
„Nie wiem, kto mi daje ten rozkaz, bo nie
znam innego naczelnego wodza tylko księ-
cia Radziwiłła“. Prawda, że to odpowie-
dział, ale też i prawda, że skoro adjutant
odjechał z tą odpowiedzią, kazał pułkom
pod jego dowództwem zostającym, w ko-
lumnach szwadronami się sformować; mnie
zaś dał rozkaz plutonami od prawego,
w środku kolumny się ustawić. Dlaczego
moje działa brał w komput kolumny ka-
waleryi, nie wiem — lecz kazano, a więc
słuchałem; jednak zdrowy rozsądek oświe-
cał mnie, że nie mogłem tylko być zawadą,
bo z działami w środku kawaleryi, na prze-
padłego do szarży idącej, ruchów do jej ru-
chów w żaden sposób nie mogłem zasto-

sować. Postępujemy naprzód stępo, potem silnym kłusem, kiedy nadzwyczajna wrzawa i silne strzelanie daje się słyszeć za nami tuż koło słupa żelaznego. Na ten niesłychany hałas generał Łubieński wstrzymuje ruch całej kolumny — chwila solenna! i niczem nie wynagrodzona!

Okoliczność jedyna, z której niezawodnie jakiś Murat byłby korzystał, nie zważając na to, co się z tyłu dzieje i co się stać może. I niezawodnie byłby się dobry i korzystny skutek utrzymał, ale generał Łubieński, dymisyonowany od lat 16, wojskowością się nie trudniąc (organizacya w. księcia zastała go pułkownikiem pułku 8-go ułanów francuskich), pierwszy raz w życiu dowodził taką masą kawaleryi. Odpowiedzialność przeraziła go i dlatego należy mu wybaczyć. Śmiały ruch naprzód dawał nam niezawodne zwycięstwo, co zaraz wytłómaczę.

Po tak krwawej i długiej obronie lasu Olshyny przez piechotę polską, a przez ciągłe zdobywanie tej pozycyi przez wielkie masy piechoty moskiewskiej i przez tak upor-

czywą bitwę piechoty przeciw piechocie i silną z obu stron kanonadę, piechota moskiewska osłabioną, wyniszczoną i na pół zdemoralizowaną została. Jedynie tylko nadejście świeżego korpusu Szachowskiego ze skrzydła lewej linii polskiej, rana Chłopickiego i jego oddalenie się z placu bitwy — ustąpienie piechoty polskiej z Olszyny spowodowało. Feldmarszałek Dybicz, chcąc korzystać z tej okoliczności, wypuszcza szarżę z trzech dywizyi kawaleryi złożoną, to jest z jednej huzarów, z jednej ułanów i z jednej kirasyerów. Ta masa kawaleryi rozbija się o piechotę polską, a silny ogień z rac kongrewskich i artyleryi rezerwowej zmusza ją do odwrotu w największym nieładzie. Jeden tylko pułk kirasyerów księcia Alberta, uniesiony przez swe konie, przedziera się za linie polskie i zostaje zupełnie zniszczony przez nasze ostatnie rezerwy. Klęska więc temu pułkowi kirasyerów zadana była powodem tego gwaru i strzelania, które, z tyłu naszej kolumny się odbywając, zdziwiły generała Łubieńskiego i nakłoniły go do wstrzymania stanowczego

ruchu kawaleryi polskiej. Gdyby był zwa-
wo naprzód szarżę uskutecznił, wpadłaby
była ona na linię piechoty moskiewskiej,
przez walkę niekorzystną mocno zdemora-
lizowaną i osłabioną, i na kawaleryę, do-
piero co w nieładzie wracającą po nieuda-
niu się ataku, w tak wielkiej masie doko-
nanego. Lecz Opatrzność widocznie nam
nie sprzyjała, udaremniając najżywsze uczu-
cia i paraliżując najotwartzsze rozумы! Praw-
dziwego dowódcy tej walki już na placu
bitwy nie było; po nim nikt nie dowodził
i nikt nie umiał dowodzić; a wojsko pol-
skie zaczęło się cofać pułk za pułkiem ku
Pradze do Warszawy. Moskale tak się
czuli osłabieni, że tylko masą artyleryi kon-
nej na nas nacierali. Artylerya ta biegnie
cwałem i niesłychany ogień rozpoczyna. Ja
dostaję rozkaz od generała Łubieńskiego,
bym stanął na pozycyi i odpowiadał na
ten ogień dotąd, dopóki o odstąpieniu dy-
wizyi z placu bitwy uwiadomionym nie
będę.

Trafiwszy na doskonałą pozycyę pagór-
ków piaszczystych, w dołach, w których

mogłem ukryć konie, przodkary i jaszczyki, rozpocząłem silny i skuteczny ogień, w czem pomagały mi artylerye piesze, podzielone na baterye i półbaterye, które wraz ze mną do późnego zmroku odpowiadały na nawałę pocisków moskiewskich.

General Łubieński, wprowadziwszy całą swą dywizyę na Szmulowszczyznę za wałami Pragi, przysłał mi rozkaz, bym przestał ogień i cofnął się przez roгатkę Grochowską na Wołowy Targ na Pragę. Już wtenczas dobrze się zmierzchało, żadnego naszego wojska na placu nie było, jedynie tylko na dwóch lub trzech punktach nasze artylerye piesze jeszcze na rzęsimy ogień artyleryi konnej moskiewskiej odpowiadały, gdy przeszedłem przez roгатkę Grochowską. Na ulicy Grochowskiej zastałem przed jednym ładnym, żółtym domem — ks. Radziwiłła, całym głównym sztabem otoczonego i różne rozporządzenia wydającego.

Kiedym maszerował, wyjechał naprzeciw mnie generał Redel i zapytał mnie, jakie mam straty meldować, poniesione w ludziach i koniach, oraz czy którego działa

nie utraciłem. „Wszystko mam w komplecie, odpowiedziałem i tylko jedno koło zgruchotane zostało, a przecież działało na drążku osadziwszy prowadzę“. Na to generał kazał mi maszerować na Targ Wołowy i tam ustawić się na prawem skrzydle nie pamiętam już jakiej baterii. Przychodzę na miejsce mi wskazane: był to plac przed samymi szanćami przedmostowymi, do których jedną tylko bramą można było się dostać, a poza szanćami prowadził jeden długi most na łyżwach do Warszawy, którą to drogą wojsko polskie, przez nikogo nie napastowane, cofało się ku stolicy. Pułki z placu bitwy jeden po drugim w porządku nadchodziły na ten plac, ale w ciemności i przy ciasności tworzył się nieład. Plac był za szczupły, przez co pułki, bataliony i różne oddziały rozłączać się musiały; różne więc bronie, korpusy i pułki między sobą się mieszały. Proszę do tego dodać oddziały jeńców wojennych prowadzące, ambulanse, wozy zapełnione rannymi i konającymi, parki rezerwowe, amunicye, wozy ze żywnością, stada bydła, co wszystko

zmieszane, z niecierpliwością przez jedną bramę i jeden tylko most cisnęło się do miasta, spodziewając się tam kwatery, posiłku i bezpieczeństwa. Chociaż już dobrze się zmierzchno, przecież jeszcze na tyłach wojska ciągle mocny odgłos armatni słyszeć się dawał, gdyż lewe skrzydło wojska polskiego, t. j. dywizye generałów Umińskiego i Krukowieckiego nie zeszły jeszcze były z placu pobojoisk i na silny ogień moskiewski o ile mogły odpowiadały. Gdyby Moskale przez tak długą i morderczą walkę nie byli tak osłabieni i znużeni i gdyby choć cokolwiek jeszcze świeżej kawaleryi posiadali, tak żeby kilkanaście szwadronów na nas wysłali, byliby już niezawodnie od razu całą wojnę skończyli.

Niech ten przykład będzie przestrogą dla tych generałów, którzy wydają lub przyjmują bitwy, zostawiając swym przeciwnikom wszelką łatwość w ruchach i silne miejscowe położenie, sami zaś obierając plac bitwy jedynie przez dwa małe laski wzmocniony i prawie bez żadnego ustępu w przypadku niepomyślnego losu.

Mimo to — nadzwyczajne szczęście miałem z moją półbaterią, bo, złączywszy się z drugą półbaterią, precisnęliśmy się razem wśród tej ciżby do bramy i szanca przedmostowego, gdzie znowu nowa ciżba odbijała się o przechód przez most. My pomyślnie na drugą stronę Wisły przeszliśmy. Już przy wychodzie z mostu napotkaliśmy komisję cywilno wojskową, która, cały ten natłok reorganizując, pułkom stanowiska i kwatery przeznaczała. Bateria nasza dostała swoją w koszarach gwardyi kawalerji ces. moskiewskiej w Łazienkach, gdzie przymaszerowaliśmy około 12 w nocy.

Wojsko polskie, w niczem od nieprzyjaciela nie będąc niepokozone, cofało się przez całą noc i dzień następny 26 lutego z Pragi przez most do Warszawy i rozlokowanem zostało po kwaterach w mieście i po wsiach okolicznych. Kilka dni później dostało rozkaz wystąpienia na plac musztry między mokotowskiemi a jerozolimskimi rogatkami, gdzie nowym naczelnym wodzem wojska polskiego generał Skrzynecki ogłoszonym został, i po krótkiej przemowie komendę ob-

jął, ogłaszając, że krzyże za odznaczenie się rozda ane będą. Do naszej bateryi 5 krzyżów przysłane było, które przez grono oficerów, podoficerów i żołnierzy, przez samą baterię wybranych, tym tylko przyznane były, których grono to uznało jako kwalifikujących się do takiej ozdoby. Tym sposobem miałem zaszczyt być dekorowany za bitwę pod Grochowem. Piękny to zwyczaj rozdawania ozdób wojskowych przez decyzję własnych kolegów, bo wtenczas ani fawor, ani też intryga mieć miejsca nie mogą, a ozdobieni nie są wystawieni na zazdrość tych, z którymi podzielać mają wspólny los wojny.

Blizko pięć tygodni staliśmy w tych koszarach, naprawiając park nasz przez kule nieprzyjacielskie uszkodzony, zastępując brak żołnierzy i koni utraconych dawnymi kanonierami wysłużonymi i końmi nowo zakupionemi. Musztry i ujeżdżanie odbywały się tak, jak w garnizonie podczas spokoju.

Przed samą batalią grochowską przybył ze Lwowa do Warszawy dawniej dymisyonowany kapitan pierwszej klasy Bem, który

od czasu jak wyszedł z wojska, zdaje mi się roku 1825, mieszkał we Lwowie przy stryju swym kanoniku katedry lwowskiej, używany będąc przez Franciszka hr. Potockiego dziedzica miasta Brodów i posyłany w różne strony za granicę dla zwiedzenia rękodzielni i zdjęcia planów, w celu zaprowadzenia fabryk podobnych w dobrach tego magnata. Bem, za czasów Księstwa Warszawskiego służąc w kompanii pierwszej artylerji konnej, garnizonem w Gdańsku stojącej, dobrze był znany księciu M. Radziwiłłowi, naczelnemu wodzowi, który także do tego samego garnizonu należał. Książę ten popierał przedewszystkiem oficerów, z którymi wspólnie żył, więc, chcąc dopomóc Bemowi, dał mu rangę majora, rangę jeszcze w komplecie oficerów artylerji nie znaną, z przeznaczeniem go do naszej baterji.

Gdy po batalii grochowskiej i zranieniu pułkownika Chorzewskiego nikt nie dowodził baterją naszą, Komisya rządowa wojny mianowała go tymczasowym dowódcą. Wystąpiła więc przed niego baterja, lecz bar-

dzo zimno przez oficerów i szeregi przyjętym został. Większa część oficerów nie знаła go, a zresztą przyzwyczajeni byliśmy, że wszyscy oficerowie z szeregu naszego awansowali i przykro nam było, że Bem, obcy i prócz mnie nikomu nie znany, z boku przyszedł nami dowodzić. Mieliśmy także na sercu, że nie był razem z nami przez trzy dni, które pierwszy raz w boju spędziliśmy. Lecz w wojsku, chociaż coś przykro i nie po myśli, trzeba słuchać, to pierwsza cnota żołnierska.

Porucznik Łabanowski zdał mu więc urządzenie komendę baterii, a sam wkrótce awansował na kapitana 2giej klasy.

Nie wspomniałem wyżej, mówiąc, że było 5 baterii konnych, iż przed naszym wymarszem z Pragi odkomenderowano z naszej baterii podporucznika Wasilewskiego, kilku podoficerów i kanonierów do korpusu rezerwowego kawaleryi pod dowództwem generała Dwernickiego, dla utworzenia w tymże korpusie plutonu artylerii konnej. Po bitwach pod Stoczkiem i Nową Wsią, w których kawalerya zdobyła na ge-

nerale Geismar i na Moskalach dział 11, generał Dwernicki zorganizował z kadru tego plutonu baterię artylerii konnej pod dowództwem dawnego jeszcze za Księstwa Warszawskiego kapitana artylerii konnej Romańskiego, który potem zginął dnia 7 września 1831 od kuli armatniej pod Warszawą, i baterię pieszą pod dowództwem kap. Radowickiego. Bateria Romańskiego nigdy numeru nie dostała, a po przejściu do Galicyi i złożeniu tam broni korpusu generała Dwernickiego de facto rozwiązana została.

Dnia 15 marca major Bem otrzymał rozkaz odkomenderowania kapitana Łabanowskiego z czterema działami, z jaszczykami i wozami zapasnymi do korpusu generała Paca, wysłanego nad Pilicę i wzdłuż lewego brzegu Wisły w okolice Kozienic, Sieciechowa i Granicy, jako korpus obserwacyjny ruchów głównej armii moskiewskiej, pod dowództwem samego feldmarszałka Dybicza zostającej, a rozlokowanej po prawym brzegu Wisły w okolicy Bobrownik, Dęblina i Stężyca. Reszta naszej baterii spokojnie dal-

szego powołania oczekiwała, gdy 30 marca w nocy (była może godzina druga nad ranem) dostajemy rozkaz wymaszerowania i formowania się na Krakowskim Przedmieściu przy rogu ulicy Bednarskiej.

Po krótkim tam czekaniu dostajemy nakaz przejścia przez Wisłę i formowania się za okopami Pragi od strony Wolnicy, właśnie na tem samym miejscu, gdzie obozowaliśmy od 19 do 25 lutego. Po ulicach Warszawy panował wielki ruch. Wojsko nasze całe w tym samym kierunku za nami postępowało, co nam dało powód domniemywania się, że się na wielką wyprawę zanoszą. W krótkim czasie większa część wojska polskiego już za Wolnicą była zgromadzona, z nakazem nierozkładania ognisk i niekarmienia koni. O godzinie 5 z rana ruch się rozpoczął. Nie pamiętam już, za jakim pułkiem piechoty po świeżem jeszcze poboju grochowskim postępowaliśmy, kiedy razem od Ząbków i Kawenczyna z lewej strony lasu, przez który prowadzi szosa, silny ogień piechoty usłyszeliśmy. Był to atak brygady Ramorina, pra-

wie w pośrodku obozu moskiewskiego, na korpus generała Geismara. Więcej niż przez godzinę trwał zacięty bój piechoty, zmieszany później z żywym ogniem armatnim. Nasza kolumna zawsze naprzód postępowała, i oto śliczny widok nam się ukazał, albowiem prowadzono 2000 jeńca moskiewskiego i niesiono sztandary. Eskortował Moskali batalion polski. Cóż to za przyjemny dzień dobry mieliśmy! W żołdatkach moskiewskich widać było uciechę, że się dla nich gotuje spokojność, ale w oficerach uderzał wyraz dumy upokorzonej! Nie brakło wymówek z jednej i z drugiej strony. My Polacy patrzyliśmy z radością na tę upokorzoną w jeńcach dumę.

Kolumna, postępując ciągle naprzód, nadeszła na świeże pobojuwisko. Ileż tam trupów nieprzyjacielskich pole okrywało! O pół mili musieliśmy się wstrzymać, bo przednia straż ciągle się biła i strzały armatnie gęsto się odzywały. Trupów i rannych po drodze napotykaliliśmy; cały las nimi wypełniony. Posuwając się ciągle środkiem szosy, ku Terespolowi i Brześciowi Litew-

skiemu idącej, masy jeńców przeciwną stroną ku Warszawie dążących spotykaliśmy. Na wielu twarzach piętnowało się rozczulenie i słodkie ukontentowanie, że się do naszej niewoli dostali, bo to byli wszyscy żołnierze z dawnych zabranych krajów, jako to: Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, do korpusu litewskiego należący.

Około godziny 5 nadeszliśmy w marszu tryumfalnym pod wieś Dębie Wielkie. Był tam korpus generała moskiewskiego Rozena, 11.000 ludzi liczący. Generał Bogusławski z 4-tym pułkiem piechoty oskrzydlał zaciętymi atakami korpus moskiewski; szarża kawaleryi, z 2-go pułku szaserów, dwóch szwadronów karabinierów i dwóch szwadronów jazdy poznańskiej składająca się, środkiem szosy linię nieprzyjacielską przecinała. Naraz wszystko się ucisza. Bateria dostaje rozkaz posłania swych pociągów dla przyprowadzenia ośmiu dział na nieprzyjaciela zdobytych; szosą zaś silne oddziały nasze całe bataliony nieprzyjacielskie i generała Lewandowskiego, Polaka w służbie moskiewskiej, w niewolę wziętego,

prowadzą. Nie mogę powiedzieć, co się dzieje temu, który się znajduje w takim położeniu, bo nigdy przeciw swo m w obcem wojsku nie służyłem, ale widziałem generała tego koło mnie z bardzo smutną miną przejeżdżającego. Potem każą nam konie karmić, ludziom gotować i wszystko udaje się na spoczynek, jak gdyby już cała sprawa była skończona. Tak spokojnie spoczywaliśmy aż do godziny 9 z rana; potem na koń — i znów w tym samym porządku naprzód postępujemy, lecz już z przeciwnej strony słabszy i rzadszy opór, a zupełnie rzadki niewolnik. Nareszcie doszliśmy do Kałuszyna, gdzie się zatrzymaliśmy. Ja tu, jak każdy stary żołnierz po powrocie z wojny, moje i pułku mego przypadki opowiadam, nikomu błędu nie zarzucając. Przypominam tylko, że i Annibal nie umiał korzystać ze zwycięstwa pod Kannami i dlatego przepadł. Przez cały dzień pod Kałuszynem obozem staliśmy, potem otrzymujemy rozkaz cofnięcia się przez Cegłów do Siennicy, gdzie święta Wielkanocne spędziliśmy, po-

żywając wesoło święcone, przez miasto Warszawę całemu wojsku ofiarowane.

W parę dni potem major Bem dostaje rozkaz udania się pod rozkazy generała Kickiego, którego naczelnv wódz z silnym oddziałem piechoty i konnicy wyprawiał na wielki podjazd o trzy czy cztery mile od naszego obozu, dla powzięcia wiadomości o ruchach marszałka Dybicza. Jak wyżej powiedziałem, marszałek miał swoje wojsko skoncentrowane około Stężycy i Bobrownik tam, gdzie rzeka Wieprz wpada do Wisły, i budował na Wieprzu most, ażeby go mógł na Wisłę spuścić, rzucić na Wiśle i od razu lewym brzegiem tejże rzeki maszerować do Warszawy.

Próżna nasza robota, gdyż to była chwila wiosenna. Grunt do dna puszczał, a na drogach takie roztopy panowały, że w jednym miejscu dwa moje działa po szynkle od kół uwiąły do tego stopnia, że musiał być użyty cały batalion piechoty, by je z błota wydobyć. Cały dzień maszerowaliśmy naprzód, a wszędzie oddziały moskiewskie najspieszniej przed nami uchodziły; lecz cóż:

dla błota, choć im było niezręcznie uchodzić, my uchodzących dogonić nie mogliśmy. Ustęp jednak ich był tak spieszny, że w jednym miasteczku, którego nazwiska nie pamiętam, zastaliśmy stół kompletnie nakryty, dla panów oficerów moskiewskich przygotowany. To też od razu do stołu zasiedliśmy. Nigdy nam lepiej obiad nie smakował. Winem ich własnem, bardzo dobrem, wypiliśmy za ich zdrowie.

Nad wieczorem dostajemy rozkaz cofnięcia się — ale noc tak była dżdżysta i ciemna, że o pięć kroków przed sobą nic widzieć nie można było; to też w krótkim czasie zbłądziliśmy i oddaliliśmy się od oddziału naszego. Bateria została się bez żadnej asekuracyi. Maszerując w takiej ciemności, a nie znając drogi, podsunęliśmy się blisko ognisk obozu nieprzyjacielskiego. Jedynie usłyszana od nas rozmowa czatów moskiewskich o niebezpieczeństwie nas ostrzegła. Cicho więc wzdłuż tego obozu niepostrzeżeni przeszliśmy i po niejakiem czasie, napadłszy na świeże ślady oddziału, złączyliśmy się z nim bez przygody.

W parę dni, stojąc pod Siennicą, dostaliśmy rozkaz udania się do Latowicza pod rozkazy Ramorino, dowódcy brygady 1szej, składającej się z 1go i 5go pułków piechoty liniowej. Ta brygada należała do korpusu generała Prądyńskiego, któremu znaczna wyprawa powierzona została. O godzinie 8 z rana wymaszerowaliśmy do wsi Wodynia, gdzie zastaliśmy przednią straż moskiewską, to jest huzarów, które to czaty nieprzyjacielskie po kilku wystrzałach poszły w rozsypkę. Rozlokowaliśmy się obozem, a z świtem rano dalej ruszyliśmy. Maszerowaliśmy lasem, a potem wyszliśmy na czyste pole, kilkanaście staj na wszystkie strony rozległe. Wśród płaszczyny wznosiła się wieś Domanice, przed którą widać brygady kawaleryi moskiewskiej, to jest jednego pułku huzarów i jednego ułanów. Ci, spostrzegłszy naszą straż przednią, wsiedli na koń i przed wsią w szyku bojowym się uformowali. Czy major Bem dostał do tego rozkaz, nie wiem, ale wziął pierwszy pluton pod komendą podporucznika Orłowskiego, wyprzedził naszą przednią straż —

a ponieważ na tej płaszczyźnie znajdował się piaszczysty pagórek, kazał na jego wierzchołku odprzodkować Orłowskiemu i dać ognia do tej nieprzyjacielskiej brygady. Kawalerya, nie wiedząc, co się dzieje za pagórkem, nie domyślała się siły naszego korpusu, wysunęła się więc naprzód, by zabrać te dwa działa. Na szczęście Orłowskiego, w chwili, kiedy ruch majora Bema był rozpoczęty, dano rozkaz pułkownikowi Michałowi Mycielskiemu, dowódcy 2go pułku ułanów, aby ruszył naprzód i zasłonił owe działa tak niebezpiecznie wystawione. Już kawalerya moskiewska dobiegała do naszych armat, kiedy Mycielski z drugim pułkiem ułanów natarł piorunem na tę kawaleryę, w oka mgnieniu ją rozbił i do ucieczki przymusił. Iluż ich tam z koni naspadało! Porzucamy wszyscy nasze działa, mieszamy się z konnicą i dalejże gonić Moskali: oni uciekają, a my tłuczemy. Najgorzej dla nich było, że nie mieli którędy się cofać, tylko przez Domanice, która to wieś, jak wszystkie wsie polskie, w jednej linii zbudowana, miała płoty z jednej i z dru-

giej strony drogi przez nią prowadzącej. Tłok się zrobił z tej brygady moskiewskiej, skoro się cała wpakowała między płoty. My, siedząc im na karku, z tyłu do ucieczki naglili. Cośmy tłukli, to tłukli; oni mały opór stawiali.

Przepędziwszy za wieś resztę tej kawalerii, (samych jeńców było zabranych 250, a co ich tam leżało, nie rachowałem; koni nabraliśmy, ile kto chciał), regularnie sformowaliśmy się za wsią i w porządnym szyku za śladem nieprzyjaciół ruszyliśmy. Przecho- dzimy znów las i znajdujemy się naprze- ciwko wsi Iganie, zbudowanej przy szosie z Warszawy do Siedlec. Na lewej stronie tej wsi rzeka Muchawiec płynie wzdłuż gó- rzystych brzegów, przez jej koryto utwo- rzonych. Owóz prostopadłe, spadziste brzegi Muchawca górowały nad całą płaszczyzną, gdzieniegdzie pagórkami przerzniętą. Ta płą- szczyzna od szosy i wsi Iganie ku nam się zniżała i w nizinie małemi zaroślami okryta była. Z prawej strony także pagórki zwolna się ku środkowi zniżały i tworzyły kotlinę istotną.

Wieś Iganie mocno wojskiem moskiewskiem obsadzona była. Przed nią stał pułk huzarów w jedną linię sformowany, przed frontem zaś pułku tego uwijały się flankiery kozackie, strzelając do nas z janczarek. Na wzgórzach nad rzeką rozstawione były trzy baterie pozycyjne moskiewskie, w działowych odstępach już odprzodkowane. Za wzgórzami i artyleryą dawały się widzieć dzwonnice kościołów i szczyty domów miasta Siedlce.

Wychodząc z lasu, zatrzymało się czoło naszej kolumny na widok tak mocnej pozycji wojska nieprzyjacielskiego już uszykowanego, i zawiadomiono o wszystkim generała Prądyńskiego. Niebawem danó rozkaz naszej baterii, aby pospieszyła na czoło całego korpusu. Ruszyliśmy więc naprzód działami od prawego i stanęliśmy, nie formując się, lecz oczekując dalszych rozkazów. Każdy z nas miał aż nadto czasu do zrozumienia, co nas czekało. Mieliśmy odpowiadać na ogień 36 dział pozycyjnych, które zgruchotać mogły nas i działa nasze, mające kaliber przez pół mniejszy, kiedy

my ani na pół odległości dosięgnąć nie byliśmy w stanie. Z pół godziny patrzyliśmy się spokojnie na ten imponujący widok, a każdy z nas raz po raz rachował działa nieprzyjacielskie. Naraz dostajemy rozkaz maszerowania naprzód, sformowania się i odprzodkowania po przed kozakami, frontem do huzarów moskiewskich. Było naszych armat 10, to jest 8 z naszej baterii i 2 z baterii 1szej lekko-konnej pod komendą podporucznika Strzemiecznego, który to pluton, odkomenderowany będąc pod Siennicą opodał od swej baterii, dostał rozkaz złączenia się tymczasowo z naszą, aby z nami na tę wyprawę pomaszerować. Weszliśmy więc w kotlinę, a skoro tylko zaczęliśmy odprzodkowywać, nastął także ruch z moskiewskiej strony; kawalerya i kozacy usunęli się, na ich zaś miejsce ukazało się 12 dział artyleryi konnej, już uszykowanej i odprzodkowanej. Z naszej strony brygada pierwsza generała Ramorino z prawego naszego skrzydła weszła w krzaki i tam się ulokowała, a pułk drugi ułanów z tyłu tej pozycyi stanowił rezerwę. Rozpoczyna się

ogień, i jaki ogień! Nie mogliśmy korzystnie celować w tę artylerję konną, która nam odpowiadała, a to z tej przyczyny, że była odprzodkowaną na szczycie nieznacznie spadającej równiny, której nizinę myśmy zajmowali. W pośrodku nierówność gruntu niby wał naturalny tworzyła. Z niższej naszej pozycyi mogliśmy widzieć wieś Iganie, lecz front baterji moskiewskiej był zakryty tak, że oprócz wylotów działowych i oprócz dymu powstającego z wystrzałów, nic innego oczom się naszym nie przedstawiało. Kanonierzy ciągle pytali się, jak i gdzie celować. „W dym!“ — była dla nich odpowiedź. W tej okoliczności doświadczyłem i przekonałem się, że jeśli przy ćwiczeniach polygonowych, gdzie kierunek jest wyznaczony tykami, a odległość wymierzona, trudno jest przecie obrachować elewację działa tak dokładnie, by raz po raz trafiać, oczywiście jest rzeczą, że jeszcze trudniej to przychodzi, gdy działo nie jest ustawione na pomoście lub na równi jakiej. Różnica pochyłości kół w ustawieniu działa wielki ma wpływ tak w dyrekcyi, jak i w elewacyi,

i czyni je niepewnemi, zwłaszcza tam, gdzie pola orane są w zagony. Obowiązkiem więc jest koła armaty ustawić albo na wierzchu dwóch zagonów, albo też w brózdach; zwłaszcza w bitwach, gdzie linia dyrekcyi nie jest wytyczona i odległość nieznana. Trzeba więc bardzo uważać na strzały, i kiedy który jest trafny, działo po odskoku na pierwotnem miejscu ustawić. Zresztą w odskoku po każdym wystrzale grunt ustępuje i tłoczy się pod kołami; a po drugim, a najwięcej trzecim wystrzale tak się ubije, że się więcej nie zniży.

W jedyny przeto cel widoczny — w dym strzelaliśmy; co innego artylerya moskiewska: ta dobrze nas miała na widoku, zwłaszcza artylerya pozycyjna wzdłuż wzgórz Muchawca ustawiona, która z nami szkołę artyleryjską odbywała. Nikt jej nie odpowiadał, nikt jej nie niepokoił, to też doskonale widać było, jak po każdym wystrzale kanonierzy odbiegali od działa poza kierunek dymu, by się przekonać o skutku swych pocisków i by stosownie do spostrzeżeń cofać działa lub posuwać, elewacyę podno-

sić lub zniżyć. Było to dla Moskali doskonałe i nadzwyczaj korzystne, rzadko w wojnie praktykowane ćwiczenie. Inaczej dla nas. My co do słowa z frontu i z boku kulami armatnimi byliśmy zarzuceni. Co sekunda ludzie i konie padali; a nie lekkie rany zadawały strzały moskiewskie. Oprócz tego zaczęły nam jaszczyki w powietrze wylatywać.

Byłem tutaj przytomny zdarzeniu dosyć ciekawemu. W środek jaszczyka z mego plutonu otworzonego, aby można było wybierać zeń ładunki, wpadł granat i w powietrze go wysadził. Jaszczyki nasze były zaprężone w trzy konie w poręcz w hołoblach, kanonier pociągowy zwykle z konia ruchami jaszczyka kierował. Otóż cała budowla jaszczyka w powietrze wyleciała, a odrywając się od hołobli, ani koni, ani pociągowego, ani też jednego odbierającego, drugiego wydającego z jaszczyka ładunki kanonierów nie zabiła i nie raniła. Konie tylko od wstrząśnienia na ziemię popadały, a pociągowy tak się przestraszył, że trzeba było wodą go cucić i że z trudnością do zmysłów i mowy powrócił.

Już przeszło od godziny strzelaliśmy, a jednakowoż nie słabł jeszcze ogień nieprzyjacielskiej artylerii konnej, z frontu naszego nam odpowiadającej. Widzieliśmy wyraźnie, że mało jej szkodzimy; oficerowie więc, zebrawszy się, polecili mi, abym oświadczył majorowi Bemowi, że nasze usiłowania są próżne, że żadnej szkody nie robimy nieprzyjacielowi, bo ogień się jego nie zmniejsza, a wiele koni i ludzi tracimy, że więc wypada nam zmienić pozycję. Tu wskazałem, że z lewej strony kotliny grunt o wiele jest wyższy, a znajduje się w większej odległości od artylerii pozycyjnej, tyle nam szkody czyniącej i rzekłem, iż prosimy, by można tam działa przeprowadzić. Major Bem odpowiedział nam tak na nasze przedstawienie: „Panowie oficerowie znajdują pozycję naszą niekorzystną — to dobrze — zmienię ją, kiedy taka ich rada“. Tu obrócił się do frontu i zakomenderował: „W nacieraniu zaprzodkuj! naprzód! stępo! kłusem, wreszcie i galopem!“ Wypadamy naprzód na szczyt tej nierówności gruntu, co nam przeszkadzała trafnie celować do nieprzy-

jaciela. Prawda, że na ten czas cały front artyleryi konnej dobrze ujrzeliśmy i że cel był doskonały do tych dział 12, które przez nasze tymczasowe milczenie niesłychanie się rozstrzelały; prawda, można było trafić, to też i trafialiśmy, lecz doskonalszy cel się okazał dla tej artyleryi pozycyjnej, która nas z boku raziła. W dawniejszej pozycji mieliśmy przynajmniej jaką taką ochronę w krzakach, z prawej naszej strony grunt pokrywających, lecz teraz to tak jak na dłoni zupełnie nas było widać. Tu dopiero z obu stron ogromny ogień się rozpoczął; nasze działa tak się rozgrzały, że nie można było na nie ręki położyć. W tej nowej pozycji zaczęliśmy jeszcze większe straty w ludziach i koniach ponosić i to tak dalece, iż trzeci pluton, pod dowództwem podporucznika Aleksandra Ekielskiego obok mego stojący, stracił wszystkich kanonierów prócz dwóch; Ekielski sam przebiegał od działa do działa, sam nabijał i strzelał. Ze zaś, zmieniając pozycję, oddaliliśmy się od naszych wozów amunicyjnych zapasowych, a brantek nam zabrakło, węc kanonierzy kręcili się po pobo-

jowisku, z tornistrów trupów piechoty ła-
dunki wydobywali i prochem tychże zapaly
zasypywali, by ogień nie ustawał.

Pułkownik Konarski, dowódca artylerii
polskiej po generale Redlu, widząc okropne
nasze położenie nadjeżdża, a odwracając się
do majora Bema, mówi mu: „majorze, trzeba
ci zmienić pozycję, bo w tej co do jednego
człowieka całą baterię utracisz“. „Pan puł-
kownik każe mi pozycję odmieniać? słu-
cham rozkazów“. Pułkownik Konarski od-
jeżdża, a major Bem komenderuje: „W nacie-
raniu zaprzodkuj! stępo, kłusem, galopem,
marsz, marsz!“ i przypadamy po przed front
artylerii moskiewskiej na kartaczowy dys-
tans. Moskale do nas kartaczami, a my do
nich tąż samą amunicją odpowiadamy, i le-
dwie po dwa razy z dział daliśmy ognia, nie-
przyjaciel za działa i w nogi, i jużemy ich
więcej tegó wieczora dzięki Bogu nie wi-
dzieli. Ale chwila uciechy i odpoczynku nie
długo trwała. Z lewej strony samego krańca
wsi Iganie był wąż, środkiem którego
prowadziła śliczna, zielona, kwiatem umajona
łąka, bo nie skoszona jeszcze jak oczywi-

ście. Z poza tego wąwozu wychodzi batalion 5-go pułku piechoty liniowej naszej, który wdarł się był do wsi, a wyparty został przez dwa pułki strzelców pieszych moskiewskich: 13-ty i 14-ty, które taką sobie były sławę w wojnie r. 1828 pod Warną zjednały, że je lwami armii rosyjskiej nazywano. Skoro tylko ten batalion polski zrównał się z naszym frontem, występuje piechota moskiewska w kolumnie ze szczęściu batalionów złożonej, zatrzymuje się i rozpoczyna na nas ogień rotowy. Pułk drugi ułanów posuwa się naprzód i formuje się tuż za nami. Nasza bateria, rozpędziwszy artylerję konną moskiewską, uszykowana była frontem do wsi Iganie, kolumna zatem moskiewska okazała się na końcu lewego skrzydła frontu naszego. Na ten ruch major Bem każe memu plutonowi dyrekcyę dział skierować naprzeciw tej kolumny i od razu ogień kartaczowy rozpocząć, co też w okamgnieniu skuteczniałem. Reszta zaś baterji cwałem zaprzodkowane armaty, a biorąc mię za oś ruchu, zmienia front kolejją plutonami tak, że w przeciągu najwięcej 10

minut cały ten ruch pod bokiem kolumny moskiewskiej uskuteczniła. Moskale zamiast na nas uderzyć, stali na miejscu, obsypując nas silnym ogniem karabinorotowym. Proszę mieć na uwadze, że tak niebezpieczny ruch, tak skomplikowany manewr dla artylerii konnej, jak zmiana frontu, odbył się we wzorowym porządku, jakby na paradzie jakiej i to pod ogniem karabinowym 6000 piechoty i owych 36 dział pozycyjnych, które we wszystkich naszych ruchach od godziny 10^{1/2} z rana ciągle do nas, jakby do martwego celu, strzelały. Ale też, gdy się wszystkie 10 dział uszykowały i gdyśmy silny ogień kartaczowy do tej zaciętej kolumny piechoty moskiewskiej rozpoczęli, to nie było już bitwy, lecz rzeź formalna. Padali na ziemię Rosyanie, jak jabłka z jabłoni. Przy tej okoliczności byłem świadkiem dwóch dowodów nadzwyczajnej odwagi tak z naszej, jako też i z nieprzyjacielskiej strony. Gdy batalion 5-go pułku piechoty uchodził przed nieprzyjacielem poza linię naszego frontu, a moskiewska piechota ogień rozpoczęła, jeden żołnierz z tego

polskiego batalionu zatrzymuje się, strzela z karabinu, nabija i dalej swe strzały powtarza. Ze strony nieprzyjacielskiej, gdy padł przy początku rozpoczęcia ognia pułkownik moskiewski, dowódca kolumny, mając jedenaście razy kości od kartaczy połamane (zabrany przez nas z placu bitwy, umarł w szpitalu oficerskim przy ulicy Miodowej w Warszawie) i gdy nie było nikogo starszego, coby kolumnę na nas poprowadził, kilku oficerów wypadło przed front kolumny i zachęcali żołnierzy, komenderując: wpierot rabiata! Popadali oni od kartaczy i tylko jeden pozostał. Ten szedł ciągle naprzód i my go dobrze widzieliśmy i słyszeli, wołającego: wpierot rabiata! Wtem obraca głowę i spostrzega, że nikt za nim nie idzie, bo wszystko albo leży na kwiecistej murawie, teraz trupami zasłanej i krwią ludzką zbroczonej, albo ucieka w największym nieładzie, chroniąc się przed pewną śmiercią. Widząc to, zatrzymuje się przed samym środkiem naszego frontu, język nam pokazuje, a potem odwraca się, i uczyniwszy gest nieprzyzwoity, oddala się spokoj-

nie. Każę za nim dać ognia z armaty, obsypują go kartacze i płaszcz, który miał na sobie, na kawałki rozszarpują. On kłania nam się jeszcze i wolno odchodzi.

W tym samym czasie główny korpus wojska polskiego, pod dowództwem naczelnego wodza, nadchodzi szosą od Kałuszyna, zmusza Moskali do cofnięcia się za rzekę Muchawiec i zabiera do niewoli niedobitki kolumny. Wódz naczelny, chcąc wynagrodzić baterię, mianuje na placu pobojuwiska majora Bema podpułkownikiem, porucznika Jabłonowskiego kapitanem 2-giej klasy, podporuczników Orłowskiego i Ekielskiego porucznikami, kilku podoficerów oficerami kawaleryi, a wielu kanonierów na podoficerów. Bój już ustał, a baterye pozycyjne moskiewskie ciągle jeszcze pociski do nas przesyłały. Właśnie bateria nasza na spoczynek odchodziła do obozu, gdy major Bem każe mi obrócić działo ku tym zaciętym zapaśnikom i choć raz do nich na dobranoc wypalić. Wyciągam zupełnie klin celowniczy i nadaję działu elewacyę, jaką Francuzi nazywają *pleine volée*; mimo tego mój pocisk

o 100 sążni od nich pada. Moskale odwet mi dają takiego samego rodzaju wystrzałem, lecz pocisk ich przenosi i pada paręset sążni za nami. Już też wieczór nadszedł był i trębacze nasi odtrąbili na odwrót i spoczynek, a każdy z nas, sam sobie nie dowierzając, oglądał się, czy jest cały po tak morderczej bitwie, którą w trzech pozycjach od pół do jedenastej z rana do ósmej wieczór, ciągle walcząc, ciągle zasypani pociskami nieprzyjaciół, toczyliśmy. Przyszedłszy do obozu, obrachowaliśmy się: działa wszystkie mieliśmy, ale ludzi i koni brakowało nam zupełnie: co przed bitwą byliśmy w największym komplecie, to tam nie mieliśmy więcej usługi, jak do czterech dział.

Nazajutrz rano wesoło się przebudziliśmy, dziękując Bogu, że żyjemy i nogi i ręce całe mamy. Ale jakież nas ogarnęło strapienie, gdy przyszedł rozkaz cofania się. Wszystko nam rokowało, że postępując naprzód zwycięstwo otrzymamy, zwłaszcza, że taki popłoch powstał był między Moskalami, że broń składali, albo uchodzili jak najprędzej. Ze istotnie tak się działo, dowodem jest na-

stępujące zdarzenie. W dzień bitwy dwóch polskich sztabowych oficerów jechało osobno wzdłuż szosy, przez las do Igań wiodącej. Wtem wyjeżdża z głębi lasu oficer moskiewski i oświadcza im, że w gęstwinie znajduje się cały pułk 98 my, zarazem prosi, aby zjechali z drogi, szpadę od dowódcy tego pułku na znak poddania się odebrali i cały pułk do głównego sztabu polskiego poprowadzili, aby tam złożył broń i sztandary. Oficerowie polscy, znajdując się o dobrą półmilę od posterunków polskich, przelekli się tej propozycji; jednakowoż na powtórne zawezwanie oficera moskiewskiego wjechali do lasu, a odebrawszy szpadę od dowódcy, pułk do obozu polskiego zawiedli.

Smutno więc było cofać się napowrót; ale próżna rada, musieliśmy iść do Kałuszyna. Tam stanąwszy, zaczęliśmy się reorganizować. Rezerwy nasze nadciągnęły z Warszawy, dodano nam ludzi z kawalerii i przysłano świeże konie. Rozpoczęły się instrukcje i musztry. Co do mnie, po 5 dniach garnizonu w Kałuszyńcu, dostałem rozkaz przygotowania się do wymarszu

z 4-ma pułkami i obozem do tychże potrzebnym. Ruszyłem o godzinie 8-ej wieczór na moje przeznaczenie do miasta Liwa, gdzie stała dywizya generała Umińskiego. Przez całą noc maszerowałem, kierując się nad ranem za światłem ognisk obozów polskich i moskiewskich. Stanąwszy na miejscu wśród obozu polskiego, gdzie wszystko śpiące zastałem, rozparkowałem się, niepostrzeżony przez czaty, obok stanowiska baterji 3-ej lekkokonnej. Zameldowawszy się rano generałowi Umińskiemu, spieszenie na kwaterę wróciłem, ile że mocna kanonada wzdłuż rzeki Liwca słyszeć się dawała. Był to atak generała Ugrinmów, będącego na czele pięciu pułków pieszej dywizji grenadyerów, 2 baterji i 4 pułków kawaleryi, to jest dwóch pułków szaserów tyrańskiego i assamowskiego i dwóch ułanów, to jest polskoułańskiego i tatarskoułańskiego. Nasi mieli z tamtej strony rzeki szaniec przedmostowy, który bronił mostu. Szaniec ten był uzbrojony czterema działami lekkiego wagiomiaru artylerji konnej przez województwo Płockie na prędce usztyftowanej z aseкура-

cyą półbajonu 1-go pułku strzelców pieszych. Cały ten oddział znajdował się pod dowództwem majora od kwatermistrzostwa Brezy.

Mimo silnego ognia artylerycznego z naszej strony, dwa regimenty grenadyerów moskiewskich, w ramię broń trzymając, z największą odwagą i w porządku poszły do szturm i szaniec zdobyły. Major Breza uratował działa, cóżkolwiekbydź półbatalion strzelców pieszych wiele tam ludzi utracił.

Moskale, zdobywszy szaniec i most spaliwszy, nazad się cofnęli. Podczas gdy piechota moskiewska zajęta zdobywaniem szanca, brygada zaś ułanów w miejscu od kul naszych bezpiecznem ustawioną stała; pułkownik Konopka, dowódca pierwszego pułku ułanów, przepływa na czele swego pułku rzekę wplaw między Wyszkowem a Pierzchałami, uderza na tę brygadę ułanów nieprzyjacielskich, rozbija, zmusza do rozsypki, mnóstwo ich trupem ściele, a 300 ludzi do niewoli zabrawszy, z tryumfem do nas powraca.

Dwa dni po tej bitwie dostałem rozkaz zameldowania się pułkownikowi, dziś ge-

nerałowi Lewińskiemu. Zaraz wymaszerowaliśmy wraz z pierwszym pułkiem ułanów i z pierwszym pułkiem strzelców pieszych do Jadowa, skąd po dwudniowym marszu nad rzeką Narwią naprzeciw wsi Zegrza stanęliśmy. Zatrzymaliśmy się tutaj, gdyż most na szosie z Warszawy do Pułtuska prowadzącej był zupełnie zburzony jeszcze przez korpus generała księcia Szachowskiego, pod Grochów feldmarszałkowi Dybiczowi na pomoc idący. Słupy wysokie były całe, lecz podłogi i poręczy żadnej. Z tamtej strony Narwi wycieczka z fortecy Modlina toczyła krwawy bój pod dowództwem majora Dobrogojskiego. Oddział, złożony z dwóch batalionów piechoty, to jest z batalionu pułku 4-go i batalionu pułku 6-go, mając dwa działa piesze, pod komendą podporucznika Skrzyńskiego, z artylerii lekkokonnej z baterii 2-ej i szwadron jazdy płockiej, ucierał się z tylną strażą generała Sackena. Pułkownik Lewiński, sprowadzwszy z wielkim trudem znaczną ilość desek ze wsi okolicznych, jako tako podłogę na moście ułożyć rozkazał. Najprzód prze-

maszerowały na drugą stronę kawalerya i piechota; gdy przyszła kolej na mnie, miałem trudność w przeprowadzeniu dział i wozów, bo pomost bardzo wązki nadzwyczajnie się podnosił nad poziom rzeki, w miejscu tem rwącej i bystrej; konie pociągowe się lękały, deszczki różnej grubości uginały się pod ciężarem dział, a nie było żadnej poręczy. Działo po dziale, jaszczyk po jaszczyku, sam przeprowadzać musiałem i wolałbym stać trzy godziny pod najsilniejszym ogniem armatnim, niżli drugi raz podobną przeprawę odbywać.

Skoro zaczęliśmy przechodzić rzekę, Moskale, parci przez oddział majora Dobrogojskiego, cofnęli się. Przeszedłszy przez rzekę pomaszerowaliśmy na całą noc do Pułtuska, gdzie o godzinie 12 w nocy przybywszy, oddział mój na rynku zaparkowałem...

Wychodząc z Pułtuska, gdy huk armat coraz silniej nas dochodził, ruszyliśmy przyspieszonym kłusem wraz z pierwszym pułkiem ułanów.

Za nadejściem do Szelkowa zastaliśmy

wycieczkę Modlińską majora Dobrogojskiego przez silny oddział korpusu Sackena zaczepioną. Było tam i kilka dział moskiewskich, na które podporucznik Skrzyński dwoma swemi działami dzielnie odpowiadał. Ale już potrzebowali pomocy nasi i dłużejby się byli nie utrzymali. Nieprzyjaciel, zobaczywszy nas, zaczął uchodzić. My, złączywszy się z komendą majora Dobrogojskiego, postępowaliśmy za nimi i przepędziliśmy ich aż poza miasteczko Rożan. Tu zatrzymaliśmy się, gdyż niepodobna było ścigać przestraszonych Moskali aż pod Ostrołękę, gdzie stał korpus cały generała Sackena, a siły nieprzyjacielskie o wiele nasze przenosiły. Pułkownik Lewiński, objąwszy dowództwo nad wycieczką modlińską, przyłączył do mojej komendy podporucznika Skrzyńskiego z dwoma jego działami. Trzy tygodnie staliśmy spokojnie w Rożanie, w którym to czasie cholera nadzwyczajnie nas dziesiątkowała. Pułkownik Nofok, dowódca pierwszego pułku strzelców pieszych, podpułkownik Niezabitowski, dowódca pierwszego pułku ułanów, i ja, do-

wodzący artylerią, mieliśmy kwatery w rynku; tam więc co rano i co wieczór zgromadzali się żołnierze z naszych komend na apele i wtedy ogromne straty, jakie codzień ponosiliśmy, najwyraźniej dawały się spostrzegać. Nawet zdarzało się, że podczas apelów ludzie choroby dostawali. Władza wojskowa, chcąc zdrowych od chorych rozłączyć, urządziła główny szpital w Pułtusk i wszystkich doktorów naszych tam odesłała, zostawiwszy tylko jednego Heinrichsa, lekarza batalionowego z pułku 1-go strzelców pieszych. Heinrichs na żaden sposób nie mógł nastarczyć pracy, dlatego ratunek był zgoła niedostateczny. Cholera, którą nam przynieśli Moskale, a która od nas po całej Europie się rozszerzyła, pokazała się w naszym wojsku po batalii pod Iganiami. Wtedy udzielili nam zarazy jeńcy, z tych właśnie dwóch pułków moskiewskich, tak dobrze przetrzepanych, a należących do korpusu Pahlena II, użytego wprzód w głębi Rosji do utrzymania kordonu zdrowia, a po stratach w batalii grochowskiej poniesionych zawezwanego na pomoc. W szere-

gach naszej baterii pokazała się choroba w tym właśnie dniu, kiedy z Kałuszyna do Cegłowa na noc przyszedliśmy. Pierwszą ofiarą tej strasznej zarazy w wojsku polskim był podoficer z mego plutonu i własny mój ordynans. Jednakowoż najwięcej panowała ona między nami w miasteczku Rożanie, bo tam mniej więcej wszyscy symptomatów jej doświadczyliśmy. Wypadł mi nagły interes osobisty do Warszawy; wziąłem więc urlop i pocztą do stolicy pospieszyłem. Otóż skoro tylko w Zegrzu przez most na drugą stronę Narwi przejechałem i odetchnąłem jakoby innem powietrzem, zbyłem zaraz osłabienia żołądkowego i boleści, co więcej przez dwa lub trzy dni pobytu w Warszawie zupełnie do zdrowia przyszedłem. Skończył się urlop i trzeba było wrócić. Skoro stanąłem w Rożanie i jeden dzień tam przemieszkąłem, też same symptomata odnowiły się u mnie.

Niedługo po moim powrocie z Warszawy przyjechał generał Jankowski i objął dowództwo nad nami, a pułkownik Lewiński został powołany do pełnienia obowiązków

szefa sztabu przy korpusie generała Łubieńskiego. Podczas gdyśmy stali w Rożanie, przybywała do nas wielka liczba dezertorów z korpusu Sackena. Największa część byli Niemcy, albowiem korpus składał się z pułków, rekrutujących się w gubernii rygskiej i innych, wzdłuż morza Bałtyckiego położonych. Wielu z nich przychodziło chorych na cholereę, przeto generał Jankowski rozkazał ich odosobnić, zamykać i leczyć podług nowo wtenczas wymyślonej metody. Dawano im wrzącą wodę jako napój. Jednakowoż zdaje mi się, że żaden z tych nieszczęśliwych, takim sposobem leczony, nie wyzdrowiał.

Nareszcie dnia 9-go maja dostaliśmy rozkaz wyruszenia z tego piekielnego garnizonu i ucieszyliśmy się. Jednakowoż radość nasza krótko trwała, gdyż tego samego dnia otrzymaliśmy wiadomość o pierwszej klęsce wojska polskiego, to jest, że generał Dwernicki cofnąc się musiał z Wołynia do Galicyi i tamże broń złożył.

Przez Pułtusk pomaszerowaliśmy do Serocka, miasteczka, pod którym rzeka Bug

wpada do Narwi. Punkt to bardzo strategiczny z powodu złączenia się dwóch rzek i z powodu niedalekiego, bo dwie mile tylko od Serocka oddalonego, ujścia Narwi do Wisły pod Modlinem.

Napoleon I. kazał był Serock obwarować tak, jak Modlin i Pragę. Trójkąt, tak trzema warowniami umocniony, był bardzo korzystny tak w zaczepnych, jak i w odpornych wojennych działaniach; to też zaraz z początku organizacyi Królestwa Polskiego, rząd cesarski, widząc, że ta pozycja, tak nadzwyczajnie mocna i wzmocniona jeszcze ręką ludzką, najwięcej Moskwie groziła, zaraz szance Pragi i Serocka zburzyć rozkazał. Zostawiono tylko Modlin, panujący nad korytem Wisły, jakoby na postrach Warszawie. Po skończonej wojnie r. 1831 Moskale Modlin Nowo-Georgijewskiem przewali i na wielką skalę wszystkie fortyfikacye powiększywszy, z punktu tego drugi Sewastopol przeciw Europie utworzyli.

W Serocku przeszliśmy przez Narew, a maszerując przez całą noc, doszliśmy o trzy mile stamtąd do małej wioski, któ-

rej imienia nie pamiętam. Tam dzień jeden spokojnie obozowaliśmy; na drugi dzień od świtu kolumny głównego korpusu wojska naszego nadchodzić zaczęły; więc wódz naczelny i sztab główny we dworze kwaterą stanęli. Dnia następnego dostaję rozkaz przez adjutanta sztabowego księcia Janusza Czetwertyńskiego, by oddać pod jego komendę 5-ty pluton z baterji 4-tej. Czetwertyński miał się udać pod dowództwo generała Chłapowskiego, który z pierwszym pułkiem ułanów i pewną liczbą ochotników z piechoty miał poleconą odrębną wyprawę w głąb Litwy. I dla mnie i dla kanonierów rozstanie to wielkiem było zmartwieniem. Jako kapitan nie byłem już komendantem plutonu, jednakowoż zawsze sobie przy wszelkich odkomenderowaniach mój dawny pluton wypraszałem i od początku wojny nieodstępny mu byłem. Bo cóż to byli za kanonierzy z 5-go plutonu! Jaka subordynacya, jaka akuratność, jakie męstwo w boju, jak tam każdy swój obowiązek pełnił i to ze wzorową cichością! Gdy pluton raz ar-

maty odprzodkował, nie słychać tam było żadnej wrzawy prócz strzału armat.

Pożegnałem was czule kanonierzy i nigdy was już nie zobaczę! Oddział nasz, pod dowództwem generała Jankowskiego będący, został rozwiązany, a zatem wycieczka cała z Modlina wróciła do tej twierdzy, prócz 4-go batalionu 4-go pułku piechoty, który poszedł wraz z generałem Dembińskim w kierunku ku Ostrołęce, gdzie skoro z miasta Moskale wyparci zostali, na stałym garnizonie pozostał; porucznik Ekielski z dwoma działami naszemi i 1 pułk strzelców pieszych, przeznaczeni na straż przednią głównego naszego korpusu, pomaszerowali na przód pod dowództwem generała Jankowskiego, teraz komendanta przedniej straży całego głównego korpusu wojska naszego. Ja sam, bez żadnej komendy, wróciłem do mej baterji, z którą podczas mej niebytności złączył się kapitan Łabanowski, jeszcze w marcu odkomenderowany z czterema działami do korpusu generała Paca. Bateria nasza była przyłączoną do dywizji kawaleryi generała Kazimierza Skarżyńskiego.

Całe wojsko ruszyło przeciw korpusowi gwardyi cesarsko-moskiewskiej, który w województwie Płockiem i Augustowskiem, pod dowództwem wielkiego księcia Michała, tak jak w czasie pokoju po różnych wsiach i miastach był rozlokowany. Pierwsze nasze z nimi spotkanie było we wsi Przetycza, gdzie strzelcy finlandzcy piesi gwardyi mężnym oporem wstrzymywali pochód naszego wojska. W lesie rozlokowani ustępowali krok za krokiem, a mimo silnego parcia przedniej naszej straży, mimo ciągłych szturmów piechoty, ciągłych szarż kawalerji, mimo tego, że Ekielski ze swemi działami nieustannie ich kartaczami gromił, bataliony te, doskonale strzelając i wiele nam ludzi zabijając, zwolna ustępowały. Przez cały dzień ledwie milę uszliśmy i ustawicznie musieliśmy się zatrzymywać. Moskale, doszedłszy nareszcie do wsi Długosiodła, rozlokowali się poza płotami i trafnymi strzałami bardzo zaczęli nas razić. W tem miejscu zginął oficer sztabu głównego Wolski, a adjutant naczelnego wodza, oficer z baterji pierwszej lekkokonnej Tomasz

Potocki został niebezpiecznie ranny. Jedyne przemagająca siła naszych zdołała im poradzić.

Kiedy do obozu naszego przyprowadzono jeńców moskiewskich, my oficerowie z baterji zebrani byliśmy u dowódcy naszego podpułkownika Bema na śniadanie, na które kilku jeńców oficerów zaprosiliśmy. W rozmowie zaczęliśmy się dziwić, że oni, Szwedzi, od swej matki ojczyzny siłą oderwani, tak zacięcie się biją za sprawę tego rządu, który ich zawojował — przeciwko nam, którymby rękę przyjaźni podać powinni, zwłaszcza, że się znajdujemy w tem samym co i oni położeniu. Odpowiedź Szwedów była: „Prawda, radziłyśmy się z wami połączyć, ale nasz kraj daleki i malutki, a Moskwa wielka i tuż na karku — co nam każą, czy przyjemnie lub nie, wykonywamy z akuratnością“. Zaden z nich do nas nie przystał, chociaż z innych korpusów moskiewskich mieliśmy tak wielką liczbę, co w naszych szeregach doskonale się bili przeciw tym, którzy ich przyprowadzili na nas.

Wojsko nasze zaczęło dalej postępować.

Nad wieczorem około Sokołowa napotkaliśmy znaczny korpus gwardyi z liczną artyleryą na wzgórzu uszykowaną. Rozpoczęła się silna kanonada, z naszej strony jeły się ukazywać z lasu liczne kolumny i tak znaczną siłę tworzyły w stosunku do sił nieprzyjacielskich, że gdyby generał Skrzynecki był uderzył na te nieprzyjacielskie oddziały, niezawodnie byłby je pokonał.

Postępując potem prostą drogą ku Łomży, znakomite bylibyśmy odnieśli zwycięstwo. Ale zamiast cośmy powinni byli masą uderzyć, jedynie tylko dywizya kawaleryi generała Skarzyńskiego dostała rozkaz obejścia pozycyi nieprzyjaciela. Ta dywizya zaczęła manewrować i obchodzić z daleka z wszelkiemi ostrożnościami tak, że nieprzyjaciel zawczasu jej cel spostrzegłszy, szybkim marszem, wcale przez nasze wojsko nie niepokoiony, na bezpieczne stanowisko uszedł. A my poszliśmy na nocny spoczynek obozować między Nadborami i Sokołowem. Tam dwa dni czasu wojsko polskie straciło niepotrzebnie, przez co dało możność generałowi Sacken cofnięcia się przez Łomżę

za Narew. Generał Sacken zabrał z sobą część korpusu gwardyi, wszelkie bagaże i parki rezerwowe. Wielki książę Michał z resztą korpusu miał także czas cofnąć się do Tykocina za Bug.

Ledwie 20-go maja w pochód dalszy za gwardyami ruszyliśmy, a nadszedłszy od Mężenina do Rudek, między którymi to wsiami znaczny las się znajdował, stanęliśmy w porządku do bitwy i bateria nasza z pagórka wsi Rudki ogień do nieprzyjaciół, licznie pod lasem i w lesie skoncentrowanych, rozpoczęła. Pod zasłoną ognia naszego pułki 2-gi i 12-ty piechoty liniowej i batalion strzelców podlaskich weszły w las i po zaciętym boju, który trwał do późnej nocy, wyparowały nieprzyjaciela. Z obu stron wiele ludzi zginęło, a wojsko polskie musiało noc przepędzić w Rudkach, gdzie zgromadziły się wszystkie oddziały. Naza jutrz, szybkim marszem postępując, zaczęliśmy ścigać gwardyę, która tak spieszenie uchodziła, że po drodze napotykałiśmy wiele zdechłych koni kawaleryjskich. Jeńcy, których braliśmy, ciągle mówili nam, że ta

gwardya była przyboczną strażą W. księcia Michała. Tak postępując, doszliśmy do granic Królestwa Polskiego. W marszu zabraliśmy kilku jeńców z pułku kawalergardów. Jeszcze nie widziałem tak ciężkiej jazdy: oprócz zwyczajnego uzbrojenia kirasyerskiego w pałasz ciężki, karabin z bagnetem i parę pistoletów, jeszcze mieli dodane wielkie rycerskie piki bez chorągiewek. Niezawodnie przyborami każdego z nich można było doskonale uzbroić czterech kawalerzystów. Przepych jednak taki w uzbrojeniu nie tylko nie mógł być użyteczny dla żołnierza, lecz tamował jego ruchy. Pułk huzarów węgierskich lub ułanów polskich na lekkich koniach z łatwością mógł rozbić tych olbrzymów, co się ledwie obracać mogli.

Przechodzimy nareszcie o kilka staj za granice Królestwa kongresowego do Złotoryi, miasteczka litewskiego, leżącego na drugiej stronie Bugu, który tam wielki staw tworzy. Bity gościniec, do Łomży prowadzący, ciągnął się ze strony Królestwa wzdłuż granicy Litwy. Długa grobla i most

szeroki prowadziły do miasteczka Złotoryi. Przed wejściem na groblę od naszej strony, z jednej i drugiej strony drogi były wymurowane dwa budynki bez piętra, w jednym z których mieściła się komora celna, a w drugim urzędnicy do pobierania myta drogowego. Przed budynkami i drogą wyżej wspomnianą rozciągała się niezbyt rozległa równina, za którą wznosiły się pagórki zniżające się ku nam w padół, od którego podnosił się równoległy drugi rząd pagórków, i to w ten sposób, że chociaż przednia straż nasza stała na wyniesieniu, to przeciwległe pagórki nie dozwalały jej widzieć, co się dzieje na równinie i w samym miasteczku. Na wierzchołku drugiego rzędu pagórków stały odprzodkowane dwa działa z baterji pozycyjnej artyleryi konnej gwardyi moskiewskiej i szwadron kawalergardów. Generał Skarżyński rozkazuje baterji naszej na wzgórze pospieszyć i ogień rozpocząć. Skorośmy tylko rozkaz wypełnili, artylerya moskiewska zaczęła strzelać do nas, lecz tak fałszywie, że w niczem nie przeszkodziła naszemu uformowaniu się.

Skoro zaś kilka razy ognia daliśmy, spiesznie i artylerya owa i szwadron kawaler-gardów umknęli. Podpułkownik Bem każe zaprzodkować i cwałem za nimi gonić. Wypadliśmy na wierzchołki przez nich opuszczzone, a stamtąd cóż za widok nam się odkrył! Widzimy oto szwadron i dwa działa, uchodzące co koń wyskoczy, a drogą bitą rejterującego księcia wirtemberskiego(?) z całym głównym sztabem gwardyi, z kasami i ze znaczną eskortą. A niezawodnie byłaby w ręce nasze cała ta zdobycz wpadła, gdyby był generał Skarżyński wraz z nami postępował. Ale generał objeżdżał ostrożnie z kawaleryą z lewej strony pagórków i wyjechał na drogę o pół wersty poza księciem wirtemberskim. Zobaczywszy co stracił, puścił się cwałem, lecz już było zapóźno, gdyż Moskale przez most do Złotoryi schronili się i most kilkoma batalionami pieszymi obsadzili. Że piechota nasza nie była jeszcze nadeszła, okazało się niepodobieństwem z samą kawaleryą most atakować, zwłaszcza że na polach, tuż za miastem leżących, cała rezerwa artyleryi

gwardyi moskiewskiej, w jedną linię uszykowana, groźną tworzyła obronę. Nie było więc co robić, generał Skarżyński cofnął się i rozlokował swą dywizję na pierwszych wzgórzach, tudzież w padole. Podpułkownika Bema korciło to, że taka wyborna sposobność mija bez najmniejszej korzyści; bierze więc dwa działa z szóstego plutonu pod komendą porucznika Rupniewskiego i ustawia je na środku drogi od mostu prowadzącej między owymi dwoma budynkami, konie i jaszczyki za nimi ukrywając. Te budynki, frontem obrócone do drogi, tylko z boku mogły służyć za cel nieprzyjacielowi. Tak ulokowawszy się, podpułkownik Bem zaczyna strzelać na Złotoryę i wywołuje kanonadę na całej linii artylerji gwardyi. Cała nasza dywizya na wierzchołku pagórków rozstawiona przyglądała się widokowi tej gimnastyki artyleryjskiej. Trwało to aż do znudzenia, bo od 10-tej z rana do późnej nocy Bem i Rupniewski z dwóch dział strzelali, a ta dobrodusznna artylerya nieprzyjacielska moc ładunków napróżno zmarnowała. Chociaż doskonale

strzelali, bo trudno było o trafniejsze strzały dla odległości, nie zdołali zburzyć budynków, a naszym ludziom, koniom i wozom, za budynkami ukrytym, żadnej szkody nie uczynili. Jedynym rezultatem tej czynnej i trafnej kanonady było zabicie krowy, którą strażnicy w stajni zapomnieli. Kiedyśmy porównywali strzały artylerji gwardji moskiewskiej ze strzałami ich artylerji liniowej, dziwną nam się wydawało rzeczą, że pociski gwardji (choć tego samego kalibru co i liniowe i chociaż można było miarkować, że w stosunku do odległości to samo nadawano działom podniesienie), dalej padały, aniżeli kule liniowe i daleko głębiej w grunt się zakopywały, i że granaty gwardji o wiele silniej pękały i swe odłamy odległej rozrzuciły. Pod ogniami ratowało nas to, że wtenczas tylko granaty raniły i zabijały, kiedy uderzały jak kula; bo odłamy słabo pękały i blisko padały, przez co nie uczyniły żadnego skutku. To sobie tak tłumaczę. Proch moskiewski, chociaż nieporządnie robiony, bo czerni i wala, równa się co do siły an-

gielskiemu, najlepszemu ze znanych, a to dlatego, że do prochu angielskiego i moskiewskiego używają saletry samorodnej, którą Anglia przywozi z Indyi, Moskale zaś mają u siebie z wielkich borów, podczas gdy inne narody tylko saletry fabrycznej używają. Otóż laboratoria artyleryjskie gwardyi znajdują się pod bokiem cesarza w Petersburgu, więc nie mogą się w nich dopuszczać żadnej defraudacyi, gdy tymczasem liniowa artylerya stoi po guberniach i ma swoje laboratoria przy właściwych sztabach, gdzie dla zysku rozmaitych pozwalają sobie mieszanin. Znowu mi się zdarzyło pod Złotoryą być świadkiem nadzwyczajnej odwagi. Między wzgórzami zajmowanemi przez nas a budynkami przy grobli, gdzie te dwa działa nasze strzelały, rozciągała się równina, która formalnie była zasypana gradem pocisków nieprzyjacielskich tak, że od nas do plutonu Rupuniewskiego cudem chyba można się było dostać bez szwanku. Naturalna więc rzecz, że pluton, wraz z nami o 3 godzinie z rana ze stanowiska swego ruszywszy, odbywszy

marsz dwumilowy i potem przez kilka godzin ciągle w czynności się znajdując, utracony był głodem. Jak tu wysłać im żywność, gdy taka wysyłka ludzi i konie na pewną stratę narażała? Otóż za jednym z domów ukrywał się z kanonierami strażnik celny i ten opowiedział kanonierom, iż w części domu, najwięcej na pociski nieprzyjaciół wystawionej, znajduje się szpiżarnia urzędników celnych, obficie w żywność zaopatrzona. Chodziło tylko, jak się dostać do składu, gdzie co chwila granaty padały i pękały, a ściany tak były kulami nabite, że prawie miejsca nagiego nie znalazł. Mimo głodu, żaden kanonier nie dał się namówić, by pójść po jadalnię; co widząc podpułkownik Bem sam idzie i wśród kul i granatów ser, chleb, mięso i inne wiktuały wnosi i kanonierom rozdaje. Druga okoliczność jest następująca. Leżałem sobie w bezpiecznym miejscu na wzgórzu, przypatrując się kanonadzie, gdy nadszedł podpułkownik Władysław Zamojski i rozmawiając ze mną, podał mi myśl, bym jechał z nim do Bema i Rupniewskiego. Przyznam się,

że kiedy mi każą, święcie dopełniam rozkazu, zresztą od początku wojny dosyć mi było kul i granatów ponad głową przeleciało i spodziewałem się, że jeszcze nie raz na nie będę wystawiony, więc od razu odmówiłem tego przyjemnego spaceru. Sam sobie więc Zamojski pojechał. Śliczny to był widok widzieć tego oficera, werstę blisko najwolniejszym stępem wśród nawału kul i granatów jadącego i nazad potem wracającego.

Z nadchodzącą nocą ustały strzały i powróciło wszystko do obozu. Nazajutrz z rana dostajemy rozkaz cofnięcia się napowrót, gdyż do głównego sztabu doszła była wiadomość, że feldmarszałek Dybicz z główną armią spieszy za nami i że jego forpoczty pokazywać się pod Nurem zaczynają.

W samym marszu otrzymaliśmy rozkaz udania się na pomoc generałowi Łubieńskiemu, z którym to korpusem złączyliśmy się w Czyżewie. Zastaliśmy generała, cofającego się po stoczonej bitwie nad Nurem. Korpus generała Łubieńskiego, spotkawszy się z główną armią moskiewską, chociaż

w trójnasób mocniejszą, silny opór stawił i dotrzymał placu mimo tego, że został otoczony i do poddania się przez generała moskiewskiego Berga zawezwany. Generał przebił się, cofnął bez żadnej straty i w takim porządku (?), że nieprzyjaciel nie śmiał zaraz za nim postępować.

Z Czyżewa pomaszzerowaliśmy wraz z korpusem generała Łubieńskiego do Zambrowa, gdzie dwa dni staliśmy, i tam bateria dostała rozkaz złączenia się z dywizją generała Skarżyńskiego, co w Troszynie uskutecziliśmy. Do Troszyna przymaszzerowawszy, odkomenderowany zostałem z czterema działami z rozkazem meldowania się generałowi Bogusławskiemu, który z czwartym pułkiem piechoty liniowej, z dwoma batalionami weteranów czynnych i z jednym szwadronem jazdy płockiej miał przeznaczenie udać się do Miaskowa, wsi, na głównym trakcie bitym z Warszawy do Kowna prowadzącym, na pół drogi między Łomżą a Ostrołęką.

Była może godzina 5-ta wieczór, gdy oddział nasz doszedł na miejsce swego prze-

znaczenia. Rozstawiłem działa w poprzek szosy frontem ku Łomży, bataliony piechoty rozłożyły się z prawej i lewej strony mych dział, a szwadron posunął się naprzód na przednie straże. Zdawało nam się, że po tych ciągłych marszach odpoczniemy sobie nakoniec, kiedy oto około godziny 1-szej w nocy nadchodzi rozkaz do generała Bogusławskiego, by się natychmiast cofał ku Ostrołęce. Darmo, trzeba było ruszyć w pochód bez zwłoki. Stanęliśmy o godzinie 4^{1/2} z rana nie w samym mieście, lecz w odległości ćwierć mili. Na gościńcu bitym był most na szerokim i głębokim rowie. Dostałem rozkaz rozebrania go; więc z podłogi i ziemi z pomocą piechoty w momencie szaniec wysypałem. Mając zaś przed sobą głęboki rów, który ciągnął się przez całą długość doliny, działa w obronnym położeniu odprzodkowałem i kazawszy za sobą jechać rozpustkom, pospieszyłem do Ostrołęki, żeby czem prędzej przywieźć furazu i żywności. Była może natenczas 5^{1/2} z rana. Ostrołękę próżną znalazłem, gdyż całe nasze wojsko było już przeszło na drugą

stronę Narwi; zastałem tylko główną administracyę, która uwijała się z wywozem reszty prowiantów, w magazynach się tamtejszych znajdujących. Jednem słowem — oprócz korpusu generała Łubieńskiego i naszego oddziału, nikogo więcej z naszego wojska z tej strony Narwi nie było. Podczas gdy kanonierzy moi z podoficerem ładowali rozpuszkę, poszedłem do oberży na śniadanie, gdyż byłem jeszcze na czczo. W oberży zastałem wielu oficerów grających w bilard, jedzących i zabawiających się. Zresztą w tem ładnem miasteczku było wszystko w porządku: sklepy pootwierane, mieszkańcy zajęci codziennymi interesami swoimi, słowem spokój powszedni. Nikt nie myślał o okropnym losie, jaki w kilka godzin potem miał to miejsce spotkać. Skoro podoficer zameldował mi, że wszystko jest gotowe, wsiadłem na koń i pojechałem do mej półbaterii, gdzie kazałem konie karmić i pozwoliłem kanonierom ogień dla gotowania obiadów rozłożyć. Wtem z prawej naszej strony ku Ostrołęce usłyszeliśmy naprzód daleki, a potem coraz się zbliża-

jący huk armatni. Nie było już czasu ani koni karmić, ani obiadu gotować, w okamgnieniu każdy na swem miejscu stanął. Nagle dostajemy rozkaz cofnięcia się ku miastu. Przy zjeździe z gościńca bitego na lewo od Ostrołęki wznoszą się wzgórza piaszczyste, których przerwy tworzą w pewnych odstępach wąwozy, ułatwiające przyjazd do miasta. Generał Bogusławski obrał tam swoją pozycję, nakazał nam formować się i rozwijać, kiedy z wielkiego a niezbyt oddalonego lasu, naprzeciwko naszej pozycji będącego, nadchodzi korpus generała Łubieńskiego, defiluje przed nami i ku mostowi podąża. Generał Bogusławski przyjeżdża do mnie i powiada mi: „Już ostatnia dywizya nasza przeszła na drugą stronę Narwi, a ja sam zostawiony jestem z moim oddziałem. Mam rozkaz trzymania się do upartego i bronienia się do późnej nocy, a wtenczas, jeżeli żyć będziemy i do niewoli nas nie zabiorą, przejdziemy przez most i po przejściu naszym zniszczymy go, a zatem w kapitanie i w pańskich działach głównie nasza obrona. Moja piechota nie-

zawodnie panu placu dotrzyma i armat nie odstąpi. Pamiętaj, kapitanie, że jesteśmy poczem straconym; mało nas jest, a mamy mieć do czynienia z całą armią feldmarszałka Dybicza. Jedź pan ze mną, obaczymy pozycję, a kapitan najlepiej będziesz wiedział, gdzie i jak masz swoje działa ustawić“. Jedziemy więc z generałem. Wzgórza, o których wyżej wspomniałem, przedzielone są dwoma wązkimi przesmykami, chciałem zatem podzielić dwa moje plutony i ustawić je jeden w jednym, drugi w drugim z tych otworów, na co się zupełnie generał Bogusławski zgadzał. Na to nadjeżdża generał Łubieński, przechodzący ze swą tylną strażą, i od razu odzywa się: „Kto to widział tak działa ustawiać!“ — a potem obraca się do generała Bogusławskiego i powiada: „Dać pokój temu wąwozowi, bo tu armaty do niczego, trzeba koniecznie na wierzchołku wzgórza dwa działa wystawić, bo będą dalej sięgały“. I na moje silne przedstawienia — „ja to panu rozkazuję“, odpowiada — musiałem więc zadosyć uczynić, a mając wszelkie zaufanie w poruczniku

Rupniewskim, którego energia i waleczność oddawna była mi znaną, kazałem mu odprzodkować na pozycji przez generała Łubieńskiego wskazanej, pozycji, którą łatwo było podejść i otoczyć, a gdzie obrona kartaczowa miejsca mieć nie mogła. Służyć to może za przykład dla dowódców większych oddziałów wojsk, mających oddaną artylerję pod swą komendę. Niechaj powiedzą swe zdania, ale niechaj pozwolą oficerom artylerji zarządzać ustawieniem dział, bo każde rzemiosło ma swoją praktykę, którą się nabywa nauką i doświadczeniem. Postawiwszy pluton Rupniewskiego z dwoma działami, z drugim plutonem obsadziłem szerszy wąwóz, mniejszy zaś opatrności boskiej zostawiłem. Położenie nasze dobrze było znane nieprzyjacielowi, zwłaszcza, że stanąłem sam wśród szczątków dawnych obozów moskiewskich. Kazałem odprzodkować frontem do równiny lasami otoczonej, a z lasu co chwila wojsk moskiewskich oczekiwaliśmy. Z tyłu naszego stanowiska miałem miasto Ostrołękę i klasztor z wysoką wieżą. Gdy generał Bogusławski od-

syłał swe bagaże pod zasłoną szwadronu jedynej naszej jazdy, i ja także moje wozy i zapasowe jaszczyki odesłałem, że zaś nikogo ani widać, ani słyhać nie było, zatem piechota broń w kozły złożyła, ja zaś w miejscu spoczynek zakomenderowałem. Te wszystkie okoliczności, mało znaczące na pierwszy rzut oka, dlatego są ważne, że za sobą okropne skutki pociągnęły. Wszystkich następnych wypadków zniszczenia zupełnego Ostrołęki i krwawej bitwy można było uniknąć, gdyby nie ten nieszczęśliwy rozkaz generałowi Bogusławskiemu wydany, by tak długo pozycyi dotrzymać. Albowiem szczegóły, które przytoczyłem, okazują wyraźnie, że aż nadto czasu mieliśmy do przejścia mostu na tamtą stronę Narwi i do jego zniszczenia. Tak Moskale nie mogliby byli dostać się na drugą stronę Narwi i to piękne miasto handlowe nie uległoby ruinie i nie bylibyśmy stracili tyle tysięcy żołnierzy, w której największa część starych oficerów z piechoty polskiej zginęła tak, że od tego czasu wojsko nasze bardzo zdemoralizowane zostało. I dywizya gene-

rała Giełguda, stojąca w Łomży, nie byłaby od wojska polskiego odcięta tak, że potem musiała ruszyć na Litwę.

Stoimy więc spokojnie przez pół godziny, gdy naraz z lasu wysypuje się masa tyralierów moskiewskich, za którymi postępują silne kolumny piechoty. Rozpoczynam odrazu kartaczowy ogień, na który liczna artyleria moskiewska niebawem odpowiadać zaczyna. Niektóre ich działa na tak bliską odległość się posuwały, że kartacze, w puszcze jeszcze za mój front przelatując, tam się dopiero rozsypywały. Lecz, ponieważ zasłonięty byłem przez wzgórze, za którym w kolumnach tuż przy moich działach stały bataliony nasze, silny ten ogień nieprzyjacielski w niczem nam nie był szkodliwy i z razu żadnego rannego ani zabitego nie miałem. Granaty i kartacze ponad głowami naszymi przelatując, ciągle w wieżę klasztorną uderzały.

Widziałem tam szczególne zdarzenie następujące. Z prawego mego skrzydła stał batalion 4-go pułku piechoty pod dowództwem majora Borzęckiego, sformowany za

pagórkiem, który go zasłaniał. Ponad nasze głowy przelatuje granat nieprzyjacielski, wpada ukośnie w środek batalionu rykoszetem, ze środka jego jeszcze raz wyskakuje i nikogo nie dotyka.

Już przeszło godzinę trwał ogień, gdy nadjechał do mnie adjutant generała Bogusławskiego z rozkazem, bym natychmiast zaprzodkował i z mojami działami stanął na szosie, albowiem Moskale, zatrudniając nas atakiem z boku, kolumny swe ku szosie obrócili, a przeszedłszy rów tam, gdzie z rana most rozebrałem, przyspieszonym chodem idą ku Ostrołęce, aby nam wszelki odwrót odciąć. Odpowiedziałem adjutantowi, że skutecznie, co mi rozkazano, ale proszę go, by przedstawił generałowi, że znajduję się w korzystnej pozycji, gdzie bez szwanku odpowiadam na ogień nieprzyjacielski, gdy zaś zaprzodkuję i oddział mój na czyste pole, kulami nieprzyjacielskimi zasypane, wyprowadzę, to nie będę już panem mych ludzi; po drugie, że chociaż na szosę działa wyprowadzę i opuszczę przesmyk, którego bronię, to tym samym

przesmykiem jeszcze prędzej i korzystniej Moskale dostaną się do Ostrołęki, a więc przestrzegam, że jeszcze powtórnego rozkazu oczekiwać będę. Ledwie kilka chwil upłynęło, gdy nadjechał do mnie sam generał Bogusławski, mówiąc: „Jest to prawda, co mi kapitan przez adjutanta oświadczyć poleciłeś, lecz ja już teraz nie dowodzę, gdyż generał Pac nadesłany dowodzi i to nakazuje“.

W tym momencie nadjeżdża sam generał Pac i woła: „Dlaczego kapitan nie jedziesz na wskazaną mu pozycję? Proszę zaraz!“ Generałowie odjechali, a ja zaprzodkowanie zakomenderowałem, i wtem, gdy przodkara podjeżdża pod lawetę i działa na nią się spuszcza, kula armatnia zabija pociągowego od przednich koni, konie przestraszone chcą się unosić; chwytam za ich cugle i kaniernierowi wierzchowemu nakazuję zsiąść z konia swego, oddać go konnowodnemu, a samemu wsiąść za pociągowego przedniego. Co też skutecznia się, ale w tej samej chwili kartacze, przelatując, ocierają się o grzbiet konia mego i obalają go wraz ze mną na

ziemię. Kanonierzy wołają: „Kapitan Jabłowski zabity“, i nie wiedząc pozycyi przez generała Paca wskazanej, cwałem udają się ku miastu. Rupniewski, widząc 4-ty pluton cofający się, zaprzodkowawszy, wolnym chodem cofać się zaczął. Ja sam na placu bitwy, przywalony mym koniem, zostaję, nie mogąc się z pod niego wydobyć; lecz po chwili sam się koń zrywa, ja powstaję, lecz koń, nie dawszy mi się chwycić, pędzi za cofającym się plutonem, ja zaś przyłączam się do piechoty. Przykre dla mnie było położenie, gdym rozważał, co będą myśleć przełożeni, mając pozór sądzenia, iż nie dość, że nie dopełniam po dwakroć danego mi rozkazu, lecz jeszcze z placu bitwy uchodzę.

Skoro tylko ogień mój ustał i piechota za działami naszymi cofać się zaczęła, silnym ogniem artyleryi nieprzyjacielskiej razona, natarł na nią pułk ułanów gwardyi moskiewskiej; lecz ta szarża kawaleryi została przez trzeci batalion pułku 4-go i przez pierwszy batalion weteranów odparta z wielką stratą nieprzyjaciela.

Wchodzimy do Ostrołęki i już tam zasta-

jemy 5-ty pułk karabinierów moskiewskich. Cóż za okropny widok! Miasto palić się zaczęło, mieszkańcy, nie wiedząc co z sobą robić, z domów płomieniem zajętych uciekali na ulicę i rynek, gdzie wrzała bitwa między nieprzyjacielem, który już był miasto opanował, a 4-tym pułkiem, który z bagnetem w ręku skroś sobie torował drogę. Nieszczęśliwa ludność, słaniając się popod murami domów, Bogu się polecała i z rezygnacją okropnego swego przeznaczenia oczekiwała.

Ledwie potrafiłem przedrzeć się do rzeki. Tu ujrzałem moje działa na tamtej stronie. Biegnę za nimi, dochodzę do końca mostu, wtem z pod moich nóg saperzy, na straży będąc, podłogę rozbierać zaczynają. Podchodzę do oficera dowodzącego nimi, porucznika Sulistrowskiego, i powiadam mu: „Co pan robisz! Pan każeś most rozbierać, a jeszcze pięć naszych batalionów wraz z dwoma generałami są za mną“. Odpowiada mi: „Ja, kapitanie, skrupulatnie wypełniam dany mi rozkaz, a ten jest, aby, skoro tylko przejdzie ostatnie działło,

podłogę rozebrać, a resztę podpalić". I nie przestał swoich czynności. Przechodzę więc most, a widząc opodal oddział mój odchodzący, że napotkałem adjutanta generała Paca, Hanowerczyka, który z pruskiego wojska uszedł był do naszego, proszę go, ponieważ był konno, by z grzeczności dla mnie popędził do mego oddziału i konia mi doprowadzić rozkazał, zawiadamiając, że jeszcze żyję. On to łaskawie skuteczniał. Doprowadzili mi konia, u którego spostrzegłem na samym grzbiecie dwa miejsca napuchnięte i ze skóry odarte i czaprak mój od kartaczy potargany. Prawdziwa łaska Opatrzności, która przez ten mój przypadek cały oddział uratowała! Inaczej, gdybym był nie był obalony z koniem od kartacza, byłbym musiał niezawodnie zaprowadzić działa na wskazaną mi pozycję, przez co przedłużyłaby się była wprawdzie obrona, ale zarazem Moskale mieliby byli czas otoczyć nas ze wszystkich stron. Jakieżby to był tryumf dla nieprzyjaciół, że mogą zabrać cały 4-ty pułk piechoty i znaczny oddział baterji artyleryji konnej gwar-

dyi, to jest sam początek powstania r. 1830. Pewnie wszyscy zostaliby skazani na Sybir i na katorżne roboty.

Ostatnia też to była chwila ratunku. Bataliony, cofając się, parte przez kolumny moskiewskie, gdy weszły na most i tam nieprzyjaciela zastały, musiały z bronią w rękę, jedynie po belkach, gdyż podłoga była do pół mostu rozebrana, swój przemarsz uskutecznić; jednakże przeszło trzy czwarte tej piechoty dostało się na drugą stronę Narwi. Obok wielkiego mostu był postawiony tymczasowy lekki most na łyżwach. Piechota, cisnąc się nań zbyt mocno, zatopiła go i blisko 200 żołnierza naszego utonęło w tej chwili.

Generał Pac cudów waleczności dokażywał. Ze szpadą w rękę jeden z ostatnich most przeszedł, i zwróciwszy się ku nieprzyjacielowi na czele ochotników, krok w krok postęp kolumn moskiewskich wstrzymywał, ile mógł. Nieprzyjaciel stał się panem mostu i w mgnieniu oka cały lewy brzeg Narwi okrył się masą dział nieprzyjacielskich. Nie wiem, czy inna jaka artylerja byłaby tego

dokazała, bo proszę mieć na uwadze, że np. Francuzi rachują, iż kolumna wojska, silna na 50.000 ludzi, w marszu będąca, wraz ze swą artyleryą zajmuje w długość 8 lieues francuskich, chociaż Francuzi nie mają tylko 2 działa na 1000 ludzi; więc o ileż większą długość musieli stosunkowo zajmować Moskale, którzy na 1000 ludzi 3 działa biorą. Dowód oczywisty niesłychanej zwinności artyleryi moskiewskiej, co zdołała w tak krótkim czasie tak wielką ilość dział na czele kolumn wojska zmasować. Z lewej strony miasta nieprzyjaciel ustawił wzdłuż Narwi 32 działa, z prawej 36, a jednak nie było jeszcze południa.

Przeszedłszy most, zastałem baterię podpułkownika Masłowskiego już odprzodkowaną naprzeciw mostu. Skoro tylko bataliony polskie za jej front przeszły, rozpoczęła ona miotać ogniem kartaczowym. Do baterii tej dołączyła się bateria podpułkownika Nejmanowskiego. Otóż nieprzyjacielskie pułki grenadyerów Astrachanu i Suwarowa, rozpoczynając pochód kolumn, pod morderczym ogniem 24 dział polskich

most mimo strat nadzwyczajnych przebyły, na artylerję polską natarły, dwa działa na niej zdobyły i do odwrotu zmusiły. Francuzi sztychują i opiewają przejście mostu pod Lodi; nie wiem, dlaczego ze strony moskiewskiej tak głucho o tem bohater-skiem przejściu mostu Ostrołęki. Co tam ich naginęło, ile w nurty Narwi wpadło! Nie czytałem raportów moskiewskich, wszelako wnoszę, że one o rzetelnej stracie, jaką piechota rosyjska poniosła, przemilczają. Bitwa tedy przeniosła się na drugą stronę Narwi. Pusta i naga równina piaszczysta bez najmniejszej wyniosłości, otoczona wkleś-łem półkolem pagórków, gdzieniegdzie gę-стыми krzakami zarosłych, stanowiła środek położenia krwawej walki. Płaszczyzna ta, od mostu Narwi do pagórków prawie regularne koło tworząca, miała średnicy pół mili (3 do 4 werst). Poza pagórkami płynęła mała rzeczka Omulew, która w kierunku zaokrąglonym obok kolonii nowo założonej fabrykantów sukna do Narwi wpadała i prawą stronę pozycyi polskiej zakończyła. Za pagórkami i za tą rzeczką

wprost naprzeciw Ostrołęki rozciągała się wieś, w której się główny sztab wojska polskiego zakwaterował. Rzeka Narew otaczała pole bitwy także wklęsłym półkolem. Brzegi jej z lewej strony od Ostrołęki górowały nad całą piaszczystą niziną. Rozstawiona tam gęsto artylerya moskiewska zamiatać mogła całą nizinę. — Wyparte z Ostrołęki bataliony polskie, w wielkim nieładzie przez most przeszedłszy, rozpięchły się pojedynczo po całej równinie, gdzie kto chciał. I nie widać było ruchu, bo całe wojsko nasze w zaufaniu, że tamta strona Ostrołęki to Termopile, a my tegocześni Spartanie, najspokojniej rozlokowane było wzdłuż pagórków nad rzeczką Omulew, gdzie, w największej spokojności odpoczywając, obiady gotowało. Nikt prawie nie był gotów prócz jednej baterji Masłowskiego i dwóch batalionów do asekuracji jej przydanych. Inne baterje artylerji polskiej, myśląc, że ku Warszawie pomaszerają, zapasy swe, nawet amunicyje i bagażowe wozy naprzód w tym kierunku poodsyłały.

Dopiero na widok wojska moskiewskiego,

które niebawem znaczną siłę z tej strony Narwi rozwinęło, zerwało się nagle wszystko. Pułk jeden po drugim chwycił za broń, a że czas nie pozwalał się sformować w wielkie oddziały, pułk za pułkiem z osobna do ataku wysyłano. Pułki te, chociaż na nieprzyjaciela z największem męstwem nacierały, przerzedzone przez silny ogień artyleryjski, rozbijały się o gęste masy piechoty moskiewskiej. Błąkałem się po polu z półbaterią moją, trzymając ją w kupie, ale nie mając żadnej asekuracyi, ani przeznaczenia, aż wkońcu dojechał do mnie adjutant naczelnego wodza major Kruszewski, późniejszy generał w służbie belgijskiej, z rozkazem, bym szedł ustawić moje działa tam, gdzie mi wskaże. Oświadczyłem gotowość; żądałem tylko, by jakakolwiek asekuracya była mi oddaną. Odpowiedział major Kruszewski: „Teraz jej tu nie mam, lecz ją pan na pozycyi znajdziesz“. Na zaręczenie majora kazałem działom rozpocząć ruch w kierunku oznaczonym; gdy wtem nadjeżdża podpułkownik Bem i zapytuje mnie: „Co kapitan tu robisz z działami bez za-

dnej asekuracji?“ Czynień mu raport z całego mego działania, uwiadamiając go o rozkazie, jaki od majora Kruszewskiego odebrałem. „Niech pan maszeruje i złączy się z resztą baterii. Cóż kapitan z czterema działami w tak silnej kanonadzie będziesz znaczył? Pojadę do głównego sztabu, wytłómaczę rozkaz dany i poproszę naczelnego wodza, by cała bateria mogła być użyta“. Podpułkownik odjechał, ja zaś pomaszerowałem na wskazane mi miejsce i złączyłem się z resztą baterii, znajdującej się w dywizyi generała Skarżyńskiego. Dywizya ta składała się z 6-ciu pułków kawalerii i z 4-tęj baterii lekkokonnej. Zastąpiłem ją za rzeką Omulew już w porządku uszykowaną (była natenczas godzina 3-cia po południu). Wokoło Narwi walka trwała zacięta, jednakowo ogień artylerii polskiej malał i ustawał. Powraca podpułkownik Bem i powiada: „Winszujcie sobie i mnie, że będziemy użyci. Doskonałą pozycyę obrałem. Jadę opowiedzieć się generałowi Skarżyńskiemu; kapitan pilnuj, by bateria była w porządku!“ Nie uszło i pół kwadransa,

aż nadjeżdża do mnie trębacz przyboczny podpułkownika z rozkazem, bym sam natychmiast do niego jechał. Spieszę więc i zastaję na pagórku generała Skarżyńskiego, otoczonego całym swoim sztabem i innymi generałami dywizyi. Właśnie podpułkownik Bem mocno obstawał, by mu generał pozwolił poprowadzić baterię tam, gdzie miał wyższy rozkaz udać się. Słyszę generała Skarżyńskiego odpowiadającego: „To szaleństwo w to piekło kogokolwiek wprowadzać! Mam sobie powierzoną najsilniejszą i najliczniejszą dywizję z całej kawaleryi polskiej. Odpowiedzialność moja przed Bogiem i ludźmi nie dozwala mi wystawiać ani jednego jej oddziału na pewną a niepotrzebną zgubę. Pan podpułkownik powiadasz mi, że masz wyższy rozkaz. To dobrze i jabym się nie sprzeciwił, gdyby można z działami wpław rzeczkę przebyć; tymczasem jedyny most tam, gdzie szosa, która to droga jest za blisko nieprzyjaciela i zanadto wystawiona na jego ogień, byś podpułkownik mógł ze swoją baterią po niej przemaszerować“. Na te słowa gene-

rała odpowiada podpułkownik Bem: „Można tę rzeczkę wplaw przebyć; oto jest tu kapitan Jabłonowski, który właśnie z czterema działami przed pół godziną tę przeprawę uskutecznił“. Generał zaczął się mnie wypytywać, na co mu odpowiedziałem, że biorę na siebie przeprowadzenie dział przez rzekę. „No, kiedy tak, mówi generał, to zezwalam, lecz żadnej asekuracyi nie dam“. Generał Wąsowicz, będąc przytomnym całej rozmowie, odzywa się: „Niech generał pozwoli, to ja dam już nie asekurację, lecz tylko eskortę z dwóch szwadronów karabinierów. Są to starzy żołnierze i potrafią w marszu działa zasłonić“. Po krótkim oporze zezwolił nareszcie generał Skarżyński na wymarsz bateryi i na te dwa szwadrony. Wszystko więc pomaszerowało, mając mnie za przewodnika. Na drugiej stronie rzeczki nie prowadził nas podpułkownik Bem na żadną pozycję, lecz poszedł wprost tam, gdzie stał naczelnny wódz, otoczony nie bardzo licznym sztabem, i z lewej strony sztabu kazał się ustawić bateryi bez odprzodkowania. Była to środkowa pozycja całej linii

wojska polskiego. Ogień artyleryi naszej już był ustał zupełnie. Piechota po wzgórzach rozlokowana stała w kolumnach pułkami, ale była zmęczona i zniechęcona. W tem oddaleniu od nieprzyjaciela najsilniejszy połowy kaliber nie mógł jej szkodzić. Na owej nieszczęsnej równinie między Ostrołęką a naszym obozem był rozciągnięty łańcuch naszych tyralierów, silnie party przez liczniejszych tyralierów moskiewskich, których było kilka tysięcy rozpuszczonych. Ogień armatni nieprzyjacielski szedł w tym momencie słabo i rzadko. Linia nasza tyralierska do nas się cofała tak, że wódz naczelny, sztab i nasza bateria na nadzwyczajnie gęsty ogień karabinowy wystawieni byliśmy. Kule jak roje pszczoł koło nas gwizdały; kilku kanonierów zostało rannych, chociaż dany był rozkaz zsiąść z koni i pokłaść się na ziemię. Ogień piechoty coraz bardziej się wzmacniał i do nas przybliżał. Naczelny wódz, znużony nareszcie natarczywością, przywołuje podpułkownika Bema i mówi mu: „Każ pan działa odprzodkować i daj do nich

ognia, a dobrze ich przepędź!“ Tego Bem potrzebował i żądał. Powraca zaraz do baterji i powiada mi: „Każ kapitan sięść na koń i ruszyć, a ja wyjadę naprzód i obiorę pozycję, a kapitan z baterją do mnie przyjeżdżaj!“ Bateria ruszyła z miejsca stępo, ja zaś wiodłem oczyma za podpułkownikiem, bym wiedział, gdzie prowadzić działa. Patrząc: przejeżdża nie tylko linię naszych tyralierów, lecz i łańcuch tyralierów moskiewskich, staje za nimi, wydobywa perspektywę i zaczyna się przypatrywać kolumnom moskiewskim, które w masie od mostu zwolna naprzód postępowały. Jakim nadzwyczajnym trafem nie został raniony lub zabity, do dziś dnia nie pojmuję; ile że tyralierzy moskiewscy, skoro nasz ruch spostrzegli, ogień swój podwoili. Widząc, gdzie stanął podpułkownik, zakomenderowałem: „kłusem! galopem! a potem marsz! marsz!“ Na to gwałtowne napadnięcie nasze tyralierzy moskiewscy w nogi; nasi za nimi. Ze nasz ruch był nadzwyczajnie przyspieszony, odrazu wpadliśmy pomiędzy Moskali. My cwałem naprzód lecimy, a oni w tymże kie-

runku między odstępami dział naszych ku swoim co tchu biegną. Żadnemu Moskowi nie przyszło na myśl do nas strzelać, lub którego z nas pchnąć bagnietem, a i kanonierzy nasi nic im nie mówili, tak, że kto patrzył z daleka, mógł sądzić, że razem atak przypuszczamy. Pędzę do Bema: „Gdzie podpułkownik każe stanąć?“ „Tu“, odpowiada. „Ale, podpułkowniku, lepiej naprzód, bo natenczas kule moskiewskie będą nas przenosiły“. „Nie mam na to dość asekuracyi“, odpowiada Bem, a obróciwszy się do baterii, komenderuje: „Stój! odprzodkuj!“ Ponieważ front nasz był w pozycji ukośnej, a zatem lewe skrzydło o wiele było bliżej od kolumn moskiewskich, daję więc rozkaz, by trzy pierwsze plutony używały granatów i kul, a dwa ostatnie kartaczy. W tej chwili wielka cisza panowała. Ogień tyralierski naszym ruchem ugasiliśmy, kolumny moskiewskie zatrzymały się w swym pochodzie naprzód, artylerya ich przestała była zupełnie strzelać. Podpułkownik Bem daje rozkaz: „Od prawego ognia!“ No, jak tylko wystrzeliliśmy z dział

parę razy, niebawem odezwała się cała linia artyleryi moskiewskiej. Raporty moskiewskie, ile wiem, wymieniają, że mieli na linii dział 62, ale sądząc po długości linii, po ilości pocisków, co na nas jak grad padały, musiało ich tam być dwa razy tyle. Już nie działami od prawego, jedno po drugim, do nas strzelali, ale salwami bateryjnymi (jedynie tylko na paradach strzelano salwą, to jest ze wszystkich dział bateryi naraz).

Proszę wystawić sobie ową, wyżej opisaną, pozycję wklęsłą, utworzoną przez bieg Narwi, zupełnie otaczającej nizinę, na której, jakby na dłoni, naszych 10 dział było odprzodkowanych. Przedstawialiśmy łatwy cel dla nieprzyjacielskiej artyleryi, której kaliber pozycyjny dosięgał do nas, kiedy nasz słabszy odpłacić jej nie mógł. Pomyślałem sobie: szkoda, że podpułkownik Bem mego instynktu słuchać nie chciał: bylibyśmy poszli naprzód, a artylerya moskiewska, mając przed sobą całą swą piechotę, nie mogłaby była do nas ani rdzenie, ani kartaczami ognia dawać; gdyby

zaś była strzelała z podniesieniem, wszystkie jej pociski przelatywałyby nad nami. Oprócz tego bateria nasza, stojąc bliżej mas nieprzyjacielskich, mogła im wielkie szkody wyrządzać. Nie było się co bać natarcia piechoty, bo odprzodkowawszy działa na prolonżach, zawsze mieliśmy dość czasu ująć przed natarciem.

Ogromny był ogień armatni pod Sewastopolem, w porównaniu z nim nasz tylko krotoczwilą nazwać można; lecz niezawodnie nigdzie i tam na tak małej przestrzeni, tudzież w jednym punkcie, większej liczby dział i pocisków nie skoncentrowano. Gdyśmy się raz rozstrzelali, to tak wielki dym powstał i taki kurz od kul nieprzyjacielskich, grunt we wszystkich kierunkach ryjących, że się zupełnie wkoło nas ściemniło. O dwa kroki od siebie nie można było nic rozpoznać. Walka ta trwała z pół godziny. Naraz huk ustał zupełnie, dym opadł i śliczne słońce, co przez cały dzień przyświecało, ukazało się w całym blasku. Jakiż widok przedstawił się moim oczom? Dział naszych strzelających na placu nie było.

Sam podpułkownik Bem z dobytą szablą jeździł po pobojowisku wraz ze swym trębaczem Hańczem. Łączę się z nim i obaj zawracamy na linię naszego frontu. Tam wszędzie leżały trupy naszych kanonierów i koni. W plutonie drugim dwa działa stały odprzodkowane, a przy nich kanonierzy i konie, pozabijane na swych miejscach; podporucznik Sachnowski, komendant plutonu, śmiertelnie ranny przez odłam granatu, który mu był brzuch rozdarł. Z tego tak wystrzelanego plutonu jeden tylko podoficer Estko żyjący pozostał. Pan Estko, bogaty obywatel z Lubelskiego, siostrzeniec rodzony Kościuszki, porzucił był dom i rodzinę i wstąpił do naszej baterji przed rozpoczęciem wojny; tu ściśle dopełniając swych obowiązków, dzieląc z nami trudy i boje, doszedł do stopnia podoficera.

Skoro trębacz Hańcz przyprowadził z rezerwy naszej dwie przodkary zapasowe, ja, Estko i on zsiadliśmy z koni, które nam trzymał podpułkownik Bem, i zaprzodkowaliśmy działa pod ogniem artyleryji moskiewskiej, która wprawdzie nie gwałto-

wnie, lecz ciągle na naszą kupkę strzelała. Opatrzność nie dozwoliła, by kula w działo albo w którego z nas trafiła. Tylko podpułkownik Bem dostał kontuzyi, wszelako nie zsiadł z konia i dopiero w Warszawie się położył. Ponieważ nie miał kto zanieść do ambulansu biednego Sachnowskiego, więc jeszcze raz posłaliśmy po kanonierów, którzy przyszedłszy, gdy nie było na czem, na moim surducie zanieśli go do obozu. Przywołano zaraz doktorów, którzy osądzili, że niema dlań żadnego ratunku i w istocie w nocnym marszu, podczas naszego cofania się, nieborak ten w okropnych konwulsjach na furze życie zakończył.

Odprowadzając te dwa działa do bateryi i maszerując w bliskości drugiego pułku ułanów, dojechałem do tego pułku i zawiadomiłem dowódcę jego, później generała Gawrońskiego, o śmiertelnej ranie siostrzeńca. Łzy zwilżyły oczy starego żołnierza; pojechał ze mną do Sachnowskiego i pożegnał się z nim na zawsze.

Tak zakończył się bohaterski epizod batalii pod Ostrołęką. Był to czyn wojenny

nadzwyczajnej śmiałości i nie wiem, czy w jakiegokolwiek bądź wojnie jakakolwiek inna artylerya ośmieliła się kiedy działać podobnie. Nasz atak uratował wojsko polskie; bo ruch naprzód kolumn i tyralierów moskiewskich miał na celu otworzyć plac przed mostem dla przemarszu kawaleryi. Rzeczywiście, piechota moskiewska w znacznej sile przeszła była przez most, jednakowoż, wstrzymana przez piechotę polską, kolumn swych rozwinąć nie mogła i tamowała drogę kawaleryi, która w środku miasta Ostrołęki czekała, by się na drugą stronę rzeki przeprawić i na zdziesiątkowane już wojsko polskie uderzyć. Atak bateryi 4-tej lekkokonnej tego dokazał, że piechota moskiewska, cofając się ku mostowi, jeszcze się więcej skupiła. Tymczasem noc nadeszła i wojsko polskie cofnąć się mogło spokojnie ku Pułtuskowi, a potem ku Serockowi i Warszawie.

Około godziny 10-tej wieczór bateria dostała rozkaz wymaszerowania na całą noc; ruszyliśmy i o godzinie 7-ej z rana przy-maszerowaliśmy do Rożana. Moja półbate-

rya i ja nadzwyczajnie byliśmy znużeni. Od trzech dni dzień i noc ciągle maszerując, a w ostatni dzień twardo walcząc, tak byłem zmęczony, że ledwie sam z konia zejść potrafił. Naraz otrzymuję rozkaz, bym się udał do generała Łubieńskiego, którego zastałem na środku szosy wpośród oficerów różnej broni i różnych korpusów. Generał kaze nam wszystkim rozstawić się po obu stronach drogi, aby zbierać żołnierzy, z pod Ostrołęki w największym nieładzie maszerujących, każdego rozgatunkowywać według broni i pułków, dalej tworzyć z nich oddziały i te do właściwej komendy odsyłać. W takim nieładzie i rozproszeniu cofało się z pod Ostrołęki wojsko polskie, jakby po jakiej najokropniejszej klęsce. Było w owej zgrai i kanonierów niemało, lecz prawie wszyscy z artyleryi pieszej. Z naszej baterii nie znalazł się ani jeden. Organizacya ta trwała do godziny 12-tej; wróciłem potem do swoich i zastałem przed kościołem zebranych wszystkich oficerów z baterii wokoło ciała nieboszczyka Sachnowskiego. Poszliśmy do proboszcza miejsco-

wego, który sprawił pogrzeb naszemu koledze, a każdy z nas szczerze się modlił za duszę tego bohatera naszej świętej sprawy. Szczęśliwy on, że zakończył życie swoje na polu sławy, walcząc za prawdy, głęboko w sercach naszych wyryte!

Po pogrzebie bateria pomaszerowała dalej przez Pułtusk i Serock ku Warszawie. Przechodząc przez stolicę, tryumfalny marsz odbyliśmy; lud przyjmował nas po ulicach okrzykami, mieszkańcy rzucali na nas z okien wieńce i kwiaty. Na kwatery udaliśmy się do Powązek, dawnego obozu piechoty, gdzie na nowo zaczęliśmy się organizować. Bateria nasza nie była to już natenczas owa śliczna bateria gwardyi; mnóstwo starych kanonierów, najpiękniejsze konie straciliśmy byli w wojnie. Ludźmi, z pułków kawaleryi wybranymi, komplet uzupełniliśmy; ale zawadą nam była młodzież ochocza, która tłumnie cisnęła się w nasze szeregi, dla naszej wielkiej słynności. Pułkownik Bem, bo za batalię ostrołęcką rangę tę otrzymał, miał słabość do tych młodych ludzi i w wielkiej liczbie ich przyjmował

a to jeszcze więcej baterię dezorganizowało. Młodzież taka niezawodnie szlachetne miała uczucia i chęci, męstwo w boju pokazywała wielkie, nie mogła przecież nastarczyć służbie. Ochotnicy, nieprzyzwyczajeni do ciężkiej, ciągłej, regularnej pracy, jaka jest wymagana od żołnierza, zwłaszcza kanoniera, a mający pieniądze z domów rodzicielskich, płacili kanonierom, by za nich mundury czyścili, konie chędożyli i o ich wygodę się starali. I jakież były następstwa! Oto kanonier, już i tak obciążony robotą koło swego konia i rynsztunku, łaskomił się na wynagrodzenie i potem nie mógł sobie dać rady, zaczęły konie i narzędzia niszczyć. Oprócz tego podwojenie pracy męczyło kanonierów i do marszu ich i czynności mniej skorymi czyniło. Wogóle to, coby się dało zrobić w stałym pokojowym garnizonie (a i tu nie trzeba pozwalać na takie rzeczy), zupełnie jest niemożliwe w marszach ciągłych, obozach i bojach. Jak powiedziałem, nie była to już od-tąd ta sama bateria, co dawniej, i już w niej tej subordynacji, regularności w służbie i tej

cichości w boju nie dopatrzył. Po Grocho-
wie, Iganiach, a nareszcie i po Ostrołęce
mało co zostało starych artylerzystów, a żoł-
nierze z kawaleryi, do nas dodani, z tru-
dnością się na kanonierów wykształcali.

Znajdowało się w bateryi dwóch kapita-
nów tejże samej klasy, ja i Łabanowski.
Ja o wiele byłem starszy żołnierz i oficer,
jak Łabanowski, ale że na parę lat przed
wojną r. 1831 wziąłem był dymisyę, więc
gdy napowrót do szeregów wróciłem, star-
szeństwo służbowe utraciłem. Tak tedy Ła-
banowski pełnił wszystkie czynności kapi-
tana.

Nie będąc w tym czasie potrzebny, po-
dałem o 15-dniowy urlop do Krakowa,
gdzie byłem ożeniony i zamieszkały, i otrzy-
małem go bez trudności...

Po powrocie do Warszawy zastałem ba-
teryę jeszcze w obozie powązkowskim, ale
już uporządkowaną. W parę dni potem ru-
szyliśmy w marsz przez puszcę Kampino-
ską do Modlina, gdzie przyszedłszy, rozło-
żyliśmy się obozem...

Obóz nasz rozłożyliśmy tuż obok fortecy

na lewym brzegu Wisły. Obóz ten składała cała dywizya kawaleryi generała Skarżyńskiego, powiększona jeszcze pułkiem ochotników, z Galicyi przybyłych, pod dowództwem pułkownika Skarżyńskiego. Blizko 10 dni pozostaliśmy bez żadnej czynności. Naraz przychodzi rozkaz dzienny, mianujący pułkownika Bema dowódcą całej artyleryi polskiej. Mnie przeznaczono na szefa sztabu, a kapitana Łabanowskiego na dowódcę naszej bateryi 4-tej. Przyznam się, że pomimo awansu przykro mi było opuścić baterię, do której w r. 1816, jako kanonier, wstąpiłem, w której na podoficera i oficera awansowałem i całą pierwszą młodość spędziłem. Korpus taki, to druga rodzina, bo się dobre i złe razem przyjmuje, zdrowie i życie razem wystawia; wszystkich się tam zna, wszystkich kocha. Mnie, kiedym odchodził od bateryi, zdawało się, że pozostaję w wojsku polskim bez żadnych przyjacielskich stosunków.

Pojechaliśmy z pułkownikiem Bemem na nasze nowe przeznaczenie i dostaliśmy główną kwaterę w Warszawiana Czystem. Mia-

łem od podpułkownika Skalskiego wszystkie archiwa odbierać i kancelaryę regulować, a że to była dla mnie czynność nowa, zupełnie nieznaną, przedstawiłem tę okoliczność pułkownikowi Bemowi, wskutek czego podpułkownik Skalski został na swoim miejscu, a ja dostałem przeznaczenie uzbrojenia działami wszelkich fortyfikacyjnych robót, wzniesionych ku obronie Warszawy. Gdy się zajął tą czynnością, nieraz przedstawiałem głównemu komitetowi artyleryjskiemu, że sposób uzbrojenia szanśców Woli nie tylko nie ułatwia obrony tego punktu, ale jeszcze obronie przeszkadzać będzie. W istocie ustawiono tam w znacznych od siebie odstępach trzynaście dział trzech różnych kalibrów i do nich jeden tylko magazyn prochowy urządzone. Proszę wyobrazić sobie, jaki w podobnym razie zamęt i jaka strata czasu, chcąc utrzymać szybki i obronny działowy ogień. Com przewidywał, ziściło się. Wola, będąc ze wszystkich stron szturmowaną, została zdobyta od razu. Sam nie byłem użyty do obrony Woli, jednak stojąc podczas sztur-

mu w niewielkiej odległości, uważałem, że ogień artyleryjski był słaby i niekorzystnie prowadzony, i nie mogło być inaczej.

Kiedy się zajmuję wypełnieniem powinności nowego przeznaczenia mego, naraz dostaję rozkaz udania się czem prędzej do Raciąża w województwo Płockie i objęcia tam dowództwa baterii 2-ej artylerii lekkokonnej, jednakowo z instrukcjami sekretnymi. Bateria 2-ga artylerii konnej przydana była do dywizji generała Turno, która to dywizya we dwa dni po moim przyjeździe dostała rozkaz udania się do Sochaczewa, gdzie całe wojsko polskie było już zgromadzone. Przyszedłszy do Sochaczewa, udałem się do pułkownika Bema z przedstawieniem, że mając oddane dowództwo 2-ej baterii lekkokonnej tylko w instrukcjach, nie zaś urzędownie, nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za działania, któremi nie kieruję, że dwóch dowódców, to dwa grzyby w barszcz, że więc położenie moje jest fałszywe i proszę go, bym albo przez rozkaz dzienny wprowadzony został, albo inne przeznaczenie otrzymał. „Prawda, że

w takim położeniu bateria zostać nie może, odrzekł mi pułkownik Bem. Ja też pana kapitana przeznaczę tymczasowo do innej czynności, a jak rozkaz dzienny do wojska wyjdzie, to kapitan do swojej komendy powrócisz, co będę się starał w najkrótszym czasie uskutecznić. Niedługo to nastąpi. Cóż kapitan chcesz, starzy starych utrzymują“. Nazajutrz dostałem rozkaz udania się do Szymanowa, w celu uporządkowania tam głównego pułku amunicyjnego, którą to komendę tak długo zatrzymałem, dopóki żądany rozkaz dzienny nie był mi nadesłany. Wtedy dopiero udałem się pod Bolimów, gdzie ze wszelkimi formalnościami objąłem dowództwo baterii 2-ej.

Zadaniem moim jest spisać wspomnienie o baterii pozycyjnej artylerii konnej gwardyi. Otóż, że wystąpiłem z jej szeregów w tak ważnej epoce wojny naszej, gdy po uchyleniu się generała Skrzyneckiego z dowództwa naczelnego, już regularne raporty o czynnościach wojska nie wychodziły i ruchy uskutecznione nie były publikowane, nie mogę w dalszym ciągu innych

podać szczegółów, jak tylko takie, które oparte są na opowiadaniu dawnych moich kolegów. O bitwie na przykład dwudniowej pod Warszawą nikt raportu nie ogłosił, a jednak bateria 4-ta miała w niej czynny udział.

Po cofnięciu się wojska z pod Bolimowa pod Warszawę uorganizowany został korpus rezerwowy artylerii pod dowództwem pułkownika Chorzewskiego, składający się z baterii 1-ej lekkokonnej pod dowództwem kapitana Narzymskiego, z baterii 2-ej, którą ja dowodziłem, z baterii 4-tej pod dowództwem kapitana Łabanowskiego, z 1-ej baterii pozycyjnej pieszej pod dowództwem kapitana Jodki, który dnia 7 września od kuli armatniej pod Warszawą zginął, z 2-ej baterii pozycyjnej pod dowództwem kapitana Józefa Rychtera i jednego plutonu raketników pod dowództwem porucznika Szopowicza.

Cały ten zupełnie oddzielny korpus o 52 działach, razem złączonych i razem działać mających, stanął obozem na folwarku S-to Krzyżkim, wewnątrz wałów, otaczających

miasto, niedaleko alei Ujazdowskich, między roгатką Mokotowską i Jerozolimską. Było to znaczne zabudowanie z obszernym placem, murem obwiedzione, wielkimi drzewami obsadzone, wyborne obozowisko. Popod cieniem drzew stały wszystkie konie wierzchowe i pociągowe. Ogromny park nasz artyleryjski był zaparkowany tuż na polu między alejami Ujazdowskimi, zaraz za wysokim murem folwarku. Główna kwatery tego korpusu była w szpichlerzu, a każdy dowódca baterii wziął sobie jedno klepisko w stodołach folwarku. Doskonały obóz i doskonale nam tam było, ale staliśmy za daleko od przyszłego placu bitwy i dywizye piechoty tudzież konnicy były ogołoczone z dostatecznej artylerii. W wojsku polskim było kompletnie gotowych i zaprzężonych 144 dział, tak pieszych, jak i konnych. Z tych 2 konne poszły z generałem Chłapowskim, 22 pieszych z generałem Gełgudem na Litwę, 8 dział konnych dodano dywizji kawaleryi generała Ambrożego Skarżyńskiego, która pod dowództwem generała Łubieńskiego udała się w wo-

jewództwo Płockie dla dostarczania furazu i żywności do Warszawy; 24 dział pieszych wziął generał Ramorino ku Terespolowi, w naszym korpusie rezerwowym liczone ich 52, a zatem w całym wojsku polskim, zebranem pod Warszawą, było porozrzucanych po różnych dywizjach piechoty tylko 36 dział. Jedna dywizja jazdy generała Jagmina, która została przy wojsku, nie miała w komplecie swym żadnej artylerii, a na tak rozległych, trzechniowych szanach, Warszawę otaczających, nie było też więcej rozrzuconych, jak 108 dział walcowych. Nie dziw więc, że Moskale, z tak silną i liczną artylerią, którą w każdym punkcie mogli skoncentrować, bez wielkich trudów Wolę, a potem Warszawę zdobyli.

W naszym obozie artyleryjskim wszystko się odbywało tak, jak w jakim pokojowym garnizonie. Służby dzienne zaprowadzone były najregularniej po bateriach i w całym korpusie. Dowódcy baterijni następnie, z kolei, według numerów baterii, je odbywali. Z dnia 5-go na 6-go września 1831 r. byłem na służbie, którą dopiero o godzinie

- 10-ej z rana memu następcy zdać miałem, kiedy około godziny drugiej w nocy wpadają do mnie oficerowie inspekcyjni baterijni, meldując mi, że powstał pożar w mieście. Natychmiast nakazałem całemu korpusowi konie kulbaczyć i ubierać, sam zaś wyszedłem na czyste pole, by się mózdz przekonać, jak wielkie grozi niebezpieczeństwo. Wzdłuż miasta straż propinacyjna Newachowicza miała postawione budy drewniane; otóż jedna z tych bud paliła się żywym nadzwyczajnie płomieniem. Ze budy te były z drzewa sosnowego smolnego, wielka, jasna światłość z daleka dawała się spostrzegać. Zdziwiło mię mocno, jak mogła ta buda od razu tak gwałtownie się zapalić, więc, choć widząc mnóstwo ludzi zebranych, by ją ratować, spokojny byłem o ogień; zacząłem w sobie rozważać, że to nie przypadkowo pożar powstał. Przekonanie moje, że się na coś zanosi, opierałem jeszcze na okoliczności, że korpus generała Ramorina nie był dotąd z wyprawy powrócił. Poszedłem tedy do parku, kazałem bateriom munsztukować wierzchowce i poza-

przęgać do armat pociągowe konie, dawszy rozkaz wszystkim bateriom być na każdy wypadek w pogotowiu. Ze jednak nic a nic cichości nocnej nie przerywało, nie meldowałem tego wypadku pułkownikowi Chorzewskiemu. Dnieć już zaczęło; wchodzę do naszego dowódcy i pytam się go, czy mogę wszystkim kazać napowrót na spoczynek się rozejść, konie od armat powypręgać i porozbierać. Na to meldowanie moje zapytał mnie pułkownik Chorzewski, jak dawno ogień ugaszony. „Niema, jak mała godzina“, odpowiedziałem. „No, jeżeli tak, to poczekać jeszcze warto; niech kapitan każe tylko rozmunsztukować i rozkieżlnać i niech karmią na miejscu“. Wychodzę od pułkownika, a dawszy rozkazy według instrukcyi, poszedłem do mej kwatery i położyłem sie na łóżku, chcąc się przespać cokolwiek. Wtem wchodzi do mnie nasz lekarz bateryjny, Gąsiorowski, meldując, że ma rozkaz wyjechania do Siedlec, gdzie masa świeżych rannych po bitwie pod Rogoźnicą znajduje się w lazaretach, że dla zbyt małej liczby znajdujących się

tam lekarzy, kilku doktorów z Warszawy powołują, a między nimi i jego, że furman jego już gotów i że mnie żegna, bo zaraz odjeżdża. Gdy tak z sobą rozmawiamy, od strony obozu moskiewskiego pierwszy wystrzał armatni słyseć się daje, a że w tym obozie, od czasu przymaszerowania wojska moskiewskiego pod Warszawę, był zwyczaj rano na znak pobudki, a wieczór na czapstrzyk strzelać z armat, nie zwróciłem na ten pierwszy huk uwagi; lecz gdy drugi i trzeci raz strzelono, a następnie mocna rozpoczęła się kanonada, zerwałem się i w okamgnieniu wszystko było gotowe i na koniach. Dowódca nasz miał rozkaz nieruszenia się z miejsca bez wyraźnych wyższych rozporządzeń i pod żadnym pozorem nie powinien był rozłączać częściowo korpusu. Ogień armatni coraz był silniejszy ze strony nieprzyjacielskiej, a z naszej mało znaczny, albowiem Moskale ustawili od razu linię armat, w wielką baterię uformowanych, to jest 50 z korpusu Pahlena, a 40 z korpusu Kreutza, które morderczy ogień rozpoczęły. Adjutantci od generałów

z różnych dywizyi przybiegali do dowódcy naszego, by mogli dostać choć cokolwiek artyleryi, ale dowódca nie mógł wbrew wyraźnemu rozkazowi działać.

Po godzinie czekania otrzymaliśmy rozkaz wysłać pomoc artyleryjską tam, gdzie jej tylko żądać będą. Wkrótce po 6 i 4 działa na różne strony rozebrano. Ja sam tylko z czterema działami pozostałem, gdyż odkomenderowałem kapitana Niemojewskiego z drugimi 4-ma działami do 1-go pułku Krakusów, stojącego między rogatkami Wolskimi a Powązkowskimi, obok reduty nr 58. Nareszcie i moje 4 działa dostały swe przeznaczenie. Poszedłem za roгатki Mokotowskie, by złączyć się z dywizją kawaleryi generała Jagmina, składającą się z czterech pułków jazdy, to jest z 3-go pułku szaserów, z 4-go pułku ułanów, z pułku powstania województwa sandomierskiego i z pułku powstania województwa augustowskiego. W tej samej chwili, kiedy półbateria wychodziła za roгатkę i formowała się na placu musztrowym jazdy za czasów wielkiego księcia, nadzwyczajny wi-

dok ujrzeliśmy. Reduta nr 57, atakowana przez kolumnę generała Lüdersa, to jest przez regimenty książąt Karola i Wilhelma i przez 3-ci i 4-ty pułki morskie, w chwili, gdy ta wielka liczba nieprzyjaciół to małe (? nr 54) dzieło fortyfikacyjne zdobywała, w powietrze wysadzoną została. Imponujący był to widok, bo masa dymu z ziemi, jak z wulkanu, buchnęła. Ludzi widać było w powietrze wylatujących. Reduta ta była przednią strażą szanców wolskich, a po jej wysadzeniu grobowe milczenie trwało przez chwilę. Po tej ciszy naraz ogromna kano-nada na szanice Woli rozpoczęła się. Generał Bem przybiegł w tej chwili, zabrał z sobą 4-tą baterię lekkokonną i popędził z nią na ratunek Woli, lecz bateria ta na tak silny ogień, ze strony nieprzyjacielskiej już uregulowany, długo odpowiadać nie mogła i nie odpowiadała. O gdyby był, zamiast na święto-krzyzkim fowarku, korpus nasz obozował pod szancami Woli, a miał do tego potrzebną asekurację, niezawodnie że nie tak łatwo byłaby Wola dostała się nieprzyjacielowi w ręce. Obsa-

dzona tylko 800 ludźmi piechoty, broniona jedynie przez 13 dział wałowych, to jest przez jednoróg całopudowy, trzy działa żelazne, w Białogonie ulane, 12-funtowe, wielkiej proporcji i 9 koronad, nie mogła się oprzeć*). Z takimi różnorodnymi kalibrami niepodobieństwem było artylerji wałowej prowadzić regularny ogień. Gdy generał Bem przyprowadził 12 dział 4-tej lekkokonnej baterji, już było za późno. Bateria, formując się pod tak silnym i uregulowanym ogniem moskiewskim, traciła za wiele ludzi, nie mogła przyjść do zupełnego ładu i wkrótce ustąpić musiała. Na pomoc Woli wysłany został z naszej strony pułkownik Wysocki z 10-tym pułkiem liniowym, 1200 ludzi liczącym. Nieprzyjaciel zaś do zdoby-

*) Koronada jest to działo 6-funtowe, używane na łodziach dla obrony rzek i brzegów morskich. Wielki książę chciał zaprowadzić flotyllę wojenną na Wiśle i dla uzbrojenia tejże kilkadziesiąt podobnych koronad przysłano mu z Petersburga do arsenału warszawskiego. Dziewięciu użyto do obrony Woli. Rzutność tych koronad jest dlatego fałszywą w obronie na lądzie, że na bardzo krótką odległość zbytecznie kartacze rozrzucają.

cia Woli użył od północy 22 batalionów z korpusu generała Szachowskiego, wraz z brygadą 1-szą generała Martinowa. Od strony Warszawy szturmował generał Berg z regimentami nowym i starym Ingermanlandu. Od strony szosy — generał Malinowski z regimentami Schlüsselburg i Ladoga. Drugi regiment strzelców pieszych dobywał Woli od strony zachodniej. 96 armat na te szanse ze wszystkich stron ogień rozpoczęło. Nie dziw więc, że Wola musiała uleść i paść, wraz ze swym dowódcą nieśmiertelnym generałem Sowińskim, pod tak przeważającą siłą nieprzyjaciół. Dlaczego ze strony polskiej silna pomoc nie nadeszła, zwłaszcza, że między Wolą a Warszawą stały dywizye generałów Dębińskiego i Rybińskiego, wytłómaczyć nie umiem.

Wspomnieć trzeba, że mimo słabej załogi, przez całe dwie godziny Wola mężny opór stawiała. Po jej wzięciu wojsko polskie w Warszawie utrzymać się nie mogło.

Dalszej bitwy pod Warszawą nie będę opisywał, ponieważ żadnych raportów naczelna komenda polska nie wydała. Po-

przestanę tylko na opowiedzeniu tego, czego byłem świadkiem naocznym. Dywizya nasza kawaleryi, jako rezerwowa, stała beczynnie do 12-tej w południe między rogatkami Mokotowskiemi a Jerozolimskimi. Zacięty bój toczył się nieustannie na prawem skrzydle naszym, naprzeciw rogatek Wolskich, gdy nagle nadjechał generał Umiński i słyszałem, jak się pytał generała Jagmina: „Masz pan generał artyleryę, daj mi ją, bo wielka siła kawaleryi moskiewskiej posuwa się i chce naszą piechotę przełamać“. Była to chwila, w której generał Rybiński, skoncentrowawszy pod nr 59 artyleryę polską, a była tam i bateria 4-ta lekkokonna pod protekcyą tej artyleryi, która uciszyła artyleryę moskiewską, silną demonstracyę ataku Woli rozpoczynał. Spostrzegłszy to Moskale, masę ciężkiej kawaleryi na naszą piechotę wysłali. Dostaję więc rozkaz udania się za generałem Umińskim. Przyspieszam ruch baterii, a generał Umiński pokazuje mi z daleka całą dywizyę kirasyerów moskiewskich, posuwających się kłusem naprzeciw Czystego, poza rogatkami Jerozolimskimi.

Zobaczywszy doskonałą pozycję, gdzie z boku dobrze można było dogodzić tej jeździe nieprzyjacielskiej, ustawiam baterię wzdłuż szosy bitej, tak, że między mną a kawalerią moskiewską znajdowały się dwa rowy po obu stronach tej drogi bitej, które mnie od niej oddzielały. Pewny byłem, że chociażby kawaleria ta na mnie uderzyła, miałem zawsze dosyć czasu, przed natarciem jej działa uprowadzić.

Głośno rozlegał się tentent czterech pułków jazdy, komendę dobrze można było słyszeć, a kirasyerzy, nie widząc półbaterii mojej, dalej w równoległym kierunku posuwali się. Razem nieprzyjemną im sprawiliśmy niespodziankę. Zaraz ruch się kolumn zwolnił, a na powtórzoną salwę odwróciły swój front i w miarę tego, jak im kule nasze dogadzały, przyspieszały swój pęd, aż wreszcie z ócz nam znikły. Lecz skoro tylko ogień rozpoczęliśmy z lewego naszego skrzydła, kilka dział moskiewskich na baterię naszą żywy dość ogień rozpoczęło z poza karczmy przy gościńcu bitym, od Warszawy do Rakowca wiodącym. Mu-

siałem tedy zmienić front i bronić się. Pierwszy raz byłem czynnym w boju z baterią 2-gą lekkokonną i z przyjemnością patrzałem na spokojność, cichość i regularność służby przy działach, tak oficerów, jak i kanonierów. Przypomniałem sobie dawne zalety baterii 4-tej lekkokonnej, póki nie była potraciła swoich starych żołnierzy. Nie wiem, czy na jakiej paradzie służba mogła być regularniejszą. Takimi oficerami i takimi kanonierami łatwo było dowodzić i łatwo przychodziło mieć odwagę.

Było zwyczajem w bateriach konnych, że oficerowie stołowali się wspólnie u dowódców. Dawniej w baterii gwardyi pułkownik zapraszał i u niego się zbieraliśmy na obiady, a lekarz baterii Łuszczyński trudnił się, jako najlepszy gospodarz, tym całym menażem. Podczas wojny było to dla jednego za nudne zatrudnienie, każdy przeto oficer z kolei brał na siebie gospodarstwo tygodniowo. W tygodniu batalii pod Warszawą na mnie była kolej przypadła. Kucharza mieliśmy raz na zawsze jednego z kanonierów niefrontowych, który

miał oddane naczynia kuchenne i kredensowe, a służący cywilny tego oficera, który tygodniowo gospodarzył, chodził za kupnem żywności potrzebnej i do stołu usługiwał. Obecnie mój stary sługa wojskowy, Dąbrowski, służbę tę pełnił. Odbił on był dawniej wszystkie kampanie hiszpańskie, moskiewskie, niemieckie i francuskie w obowiązku przy owym sławnym pułkowniku Koziętulskim z pułku szwoleżerów cesarsko-francusko-polskiej gwardyi. Kiedy bateria dobrze się rozstrzelała, a na jej ogień Moskale żwawo odpowiadali i sam bardzo byłem zajęty moją czynnością, czuję, że mnie ktoś trąca po kolanie, gdyż byłem na koniu. Odwracam głowę, patrzę, Dąbrowski, który do mnie mówi: „Proszę księcia, już godzina 2-ga wybiła, niech książę za linię jaszczyków idzie, to tam z kucharzem nakryliśmy do stołu, ale proszę, niech się książę spieszy, bo zupa wystygła, a ja pójdę tymczasem prosić panów oficerów“ (oficerowie ci stali pieszo w plutonach między działami). Przytaczam tę okoliczność dlatego, by odpowiedzieć tym,

co zarzucają, że wojsko polskie było demoralizowane i źle się biło. Proszę uważać jednak, jaka była regularność wewnątrz naszych korpusów. Wojsko polskie nigdy nie podupadło moralnie; gdzie tylko było użyte, gdzie można było walczyć, zawsze z honorem walczyło, zagrzone silnem i gruntownem przekonaniem o obowiązkach narodowych, czystych i prostych zasad miłości ojczyzny się trzymając.

To, co Franciszek I, król francuski, wyrzekł po batalii pod Pawią: „wszystko stracone, prócz honoru“, mogło być i naszym godłem. Wojsko pozostało wierne tradycji sławy polskiej. Ilekroć dobrze go używano, dokazywano cudów waleczności, i niezawodnie waleczniejszego wojska nie było i nie będzie na świecie.

Już przeszło dwie godziny trwał ogień. Nie był on tak morderczym, jak pod Iganiami lub pod Ostrołęką, ale stąd uciążliwy, że ta bateria artylerii moskiewskiej nam przeciwna stała poza karczmą lub w krzakach na tej pozycji znajdujących się, przez co cel był niewidoczny. Nasza bate-

rya druga odprzodkowana była na gołem, otwartem polu ; mimo to kule nieprzyjacielskie mało nam szkodziły, dlatego, że Moskale bardzo szybko raz po raz strzelali. Ze nieprzyjaciel znaczne straty ponosić musiał, to łatwo było spostrzedz ; ogień ich słabł, podczas kiedy nasz był coraz energiczniejszy i silniejszy. Doskonale nam tam było, aż tu dwóch adjutantów przybiega jeden po drugim od generała Jagmina, bym z pozycyi schodził i z dywizją się złączył. Upraszam generała o chwilkę cierpliwości, mówiąc, że się spodziewam, iż jeszcze dobrą kurtę wytnę nieprzyjacielowi ; lecz przybiega i trzeci, oznajmując, że generał formalnie rozkazuje mi cofnąć się, ponieważ nie widzi powodu, by dla uciechy jednej bateryi, tyle ludzi tracić z dywizyi kawaleryi. Zresztą, dodał ten trzeci adjutant, że mogę sobie pukać sam tak długo, jak mi się podoba, ale mnie przestrzega, że generał natychmiast cofać się zaczyna.

Nie było co robić : kazałem zaprzodkować i z bólem serca za dywizją pomaszrowałem. Dopiero wtenczas rozruszała się

zwawo bateria moskiewska i zaczęła za nami gradem kul miotać, lecz tak niezgrabnie, że chociaż ten plac musztrowy jest gładki, nagi i bez najmniejszej zasłony, przecież żadna z tych licznych kul szkody nam nie uczyniła. To też, by nieukom pokazać, że nie z tchórzostwa z placu bitwy ucho-
dę, najwolniejszym stępem kazałem ma-
szerować.

Dnia 6 września półbateria już więcej użyta nie była. Bój trwał na całej linii do późnego wieczora tak zacięcie, że żadna strona na krok nie odstąpiła.

Nazajutrz, to jest 7 września, o świcie wszystko było już gotowe: konie wychędo-
żone i nakarmione, rekwizyta i mundury wyczyszczone, jaszczyki ładunkami nowymi dopełnione. Czekamy i czekamy, prędko nas użyją, kiedy nadchodzi rozkaz dzienny, za-
wiadamiający, że między wojskami zaszło zawieszenie broni. Wszystko więc zsiadło z koni i na odpoczynek się udało. Mając czas wolny, przejechałem wzdłuż łańcucha naszych tyralierów, by się przypatrzeć i roz-
poznać stan ogólnego naszego położenia.

Jasne i śliczne słońce przyświecało wten-
czas i każdy ruch obu stron wojujących
doskonale można było rozpoznać.

Naprzeciw wolskich rogatek spostrzegłem
na pogórku naszych oficerów sztabowych
i pospieszyłem do nich. Z tego punktu wy-
bornie śledzić się dawały najmniejsze po-
ruszenia w obydwu obozach. O ile sobie
przypominam, znajdowali się w tem gro-
nie oficerów polskich generał Młokosiewicz,
podpułkownicy: Klemensowski z kwatermi-
strzostwa, podszef sztabu głównego i Ka-
miński, który także po batalii warszawskiej
ten urząd sprawował. Dobrze wszyscyśmy
uważali na ciągły ruch obozu moskiewskie-
go, gdzie czasu nie tracili i z rozejmu ko-
rzystali. Ciągłe nadchodziły nowe baterye
artyleryi i szykowały długą linię dział, opie-
rajac się tak z jednej, jako i drugiej strony
o szanice Woli, które, od dnia przeszłego
w posiadaniu nieprzyjaciół będąc, silnie ar-
tyleryą moskiewską były obsadzone. Słońce
wprost na tę linię promienie swe rzucało,
mosiądz i spiż, tryplą wyczyszczane, jaskra-
wo błyszcząły. Z łatwością można było

działa porachować. Z prawej strony Woli naliczyłem ich przeszło 200. Za linią artylerii, tak mocno i rozlegle skoncentrowanej, stało kilkadziesiąt wielkich kolumn piechoty moskiewskiej, dywizjami w paradzie uszykowanych, a za temi liniami piechoty ukazywała się masa różnych gatunków kawaleryi w kolumnach. Był to przepyszny widok. Ogrom armat, karabinów, pancerzy, kasków złocistych, srebrnych i mosiężnych, błyszczących do słońca, uderzał imponująco. Wyraźnie koncentrowali całe wojsko moskiewskie, opierając się o dopiero co zdobyte szanice Woli, aby uderzyć naprost, przełamać środek pozycyi i prostą linią ulic warszawskich zdobyć most prowadzący na Pragę, jedyny odwrót wojska polskiego. Rozjem, dopiero zawarty, aż nadto dawał czasu nieprzyjacielowi do skutecznienia tego zamiaru.

Przypatrzwszy się do woli Moskalom, zwróciłem oczy na naszych; ale tu zgroza mnie i boleść opanowały. Zdumiałem! U nas nic się nie robiło, spoczynek formalny, pełen zaufania. Tam, gdzie noc baterye, ba-

taliony lub oddziały kawaleryi napotkała, tam każdy obozował; żołnierze albo gotowali, albo bieliznę prali lub też kaszkiety-rekwizyta i mundury sobie czyścili. Konie w kawaleryi rozmunsztukowane, kawalerzyści pałasze i pistolety chędożyli. To samo działo się i po bateriach artyleryi, z tą różnicą tylko, że koni od armat nie powyprzęgano. Była to przecież chwila stanowcza, która rozstrzygnąć miała o przeznaczeniu naszego kraju i o losach kilkutyśięcznego (?) na kuli ziemskiej pod bronią wojska, także o całości 140.000 ludności liczącego miasta Warszawy. Cóż więc przewodnicy nasi robili? Co robili, to najlepiej wyświeca raport generała Prądzyńskiego, ogłoszony we wszystkich gazetach europejskich, (sam posiadam jeden egzemplarz dziennika „des Debats“, z dnia 10 października 1831 r., do którego czytelników moich odsyłam). Zmartwiony takim widokiem, pożegnawszy się z oficerami, którzy wraz ze mną na pagórku stali, wróciłem do baterii, i tutaj, zatopiony w smutnych myślach, uwagę na niebezpieczne nasze położenie

zwróciłem. Że dowódcy nasi, myślałem sobie, musieli dnia 6 września bitwę przyjąć, nic naturalniejszego, tylko dlaczego nie bronili, jak należy, Woli, pozycyi, która, raz zdobyta, oddawała Warszawę w ręce nieprzyjacielskie. Nie pozostawało więc teraz, jak albo broń złożyć, poddając się na łaskę i niełaskę, albo też korzystać z pory, opuścić Warszawę, przejść na drugą stronę Wisły, mosty rozebrać i spalić, ale nie na rozejmy się godzić, dając Moskałowi czas skupienia i wystawienia wszystkich sił swoich. Przyjmować morderczą bitwę, jak owa popołudniowa dnia 7 września, w której tyle tysięcy ludzi z obu stron bez żadnego planu i celu zginęło, było więcej niż lekko-myślnością.

O godzinie 11-tej cała dywizya nasza siedła na koń i ustawiła się w szyku bojowym. Około godziny 1-ej wystrzał armatni z obozu moskiewskiego dał nam znak, że umowy między władzami wyższemi polskimi i moskiewskimi do skutku nie przyszły i że rozejm zerwany. Na ten wystrzał od razu z obu stron powstała nadzwyczajna kano-

nada i bój na całej linii się rozpoczął. Przed frontem naszym znajdowała się reduta numer 71, uzbrojona w trzy żelazne działa, ulane w Białogonie, 12-stofuntowej wielkiej proporcji i obsadzona dwoma kompaniami piechoty z pułku grenadyerów dawnej gwardyi. Z przodu nie było żadnych flankierów, którzyby mogli zawiadomić nas o ruchach nieprzyjacielskich. Właśnie zbliżyłem się był do generała Jagmina, na czele kolumny stojącego, dawno mi znajomego i z nim rozmawiałem, gdy nagle obaczyliśmy nieprzyjacielski pułk, podchodzący pod redutę. Moskale, mając za sobą drabiny i faszyny, na wały tej reduty wdzierać się zaczęli. Piechota polska silny opór stawiała. Śmiały to był napad, bo pułk moskiewski oddalił się blisko o 1¹/₂ wersty od frontu swej linii bojowej i przed samym naszym frontem redutę zdobywać zaczął, śmiały ale nierozważny. Zamiast co cizbą na szczyt wałów się drapali, powinni byli choć jeden batalion w około posłać; tak mogli zdobyć niczem z tyłu nieobwarowaną redutę prawie bez trudu. Już przemocą na wierzch wałów

wdzierali się, gdy generał Jagmin i ja spostrzeżliśmy ich. Powiadam więc do generała: „niech mi generał pozwoli, to ich dobrze przywitam“. — „Jedźże więc kapitanie!“ była jedyna odpowiedź. Na to zezwolenie odwracam się do baterii i komenderuję: „stępo, kłusem, galopem, marsz! marsz!“

Znowu piękny był widok, gdy bateria z animuszem naprzód postępowała. Regularność ruchu i odstępy działowe zachowaliśmy. Aż mi serce rosło, że dowodzę takimi ludźmi. Pędzimy z wiatrem. Moskale, myśląc, że to napad kawaleryi, w nogi; już ich dopędzaliśmy tak, że im tornistry było widać; komenderuję: „stój! odprzodkuj!“ Oj bylibyśmy dali dobrą naukę temu zuchwałemu pułkowi, bo kanonierzy mieli ich jak na półmisku, kiedy nagle wpada między moje działa 3-ci pułk szaserów, za nimi pułk sandomierski, potem augustowski, a na czele kolumny generałowie nasi Bem, Umiński, Jagmin, Czarnomski, ze swoimi sztabami cwałem za Moskalami pędzący. Założyłem więc ręce, żałując, że mi się nie udało kordyalnie nieprzyjaciół przywitać. Patrzą, co

dalej działać się będzie i oto widzę całą tę naszą kawaleryę co tchu nazad powracającą prosto na moje działa, a za nią frontem pułkami brygadę kawaleryi moskiewskiej, to jest pułki huzarów i dragonów starej gwardyi, w największym porządku, pod dowództwem generała Nostitza.

Pięciu generałów polskich ze swoimi sztabami, trzy pułki kawaleryi uchodziło w największem zamieszaniu przed wzorowem co do ruchu natarciem kawaleryi moskiewskiej. Plac, na którym się odbywała ta szarża kawaleryi, był to plac musztry za czasów wielkiego księcia, plac doskonale zrównany, co wszystkie ruchy konnicy ułatwiało.

Tak tedy pięć pułków kawaleryi cwałem wprost na moje armaty leciało; huk i tentent były niezmierne. Z początku nie mogłem się domyśleć, kto na naszą kawaleryę tak silnie naciera i przed jakim ona niebezpieczeństwem uchodzi. Dopiero, skorom poznał generała Nostitza, rąbiącego porucznika Aleksandra Ekielskiego niedaleko odemnie, szybko kazałem uprowadzić działa,

które się dały zaprzodkować, a że dwóch dział z lewego skrzydła niepodobna było ratować, krzyknąłem, by przodki i kanonierzy konnowodni jak najspieszniej odjechali. Pod te dwa działa zostawione kanonierzy się popodsuwali; jedno z nich, czwarte, nim jeszcze pod nie kanonierzy się skryli, wystrzeliło, ale tak, że huzarów, wpadających na sam wylot działa, na kawałki rozszarpało. Cała burza kawaleryjska pędziła aż pod wał miasta i tu nasi uciekać, nieprzyjacielem posuwać się nie mogli. Powstał zatem zacięty bój między nimi. Na szczęście kawalerya nasza składała się, jak wyżej wspomniałem, z czterech pułków; trzy pułki udały się za tym pułkiem piechoty, który moim ruchem poprzednim od reduty odpędziłem, czwarty zaś pułk ułanów został w odwodzie wraz z generałem Teodorem Szydłowskim. Ten, widząc natarczywość jazdy moskiewskiej i zacięty bój pod wałem miasta, przypuścił szarżę jak należy.

Na takie natarcie — Moskale, energicznie z boku napadnięci, dalejże w nogi, a nasza kawalerya obraca się na nich. Można

sobie z łatwością wyobrazić, co tam huzarów i dragonów padło. Najprzód, mocno gromieni przez jazdę naszą, musieli wytrzymać strzały kartaczowe, z boku na nich miotane; dalej, gdy się cofali w największym nieładzie po pod wał reduty, piechota nasza tam znajdująca się trafnie i z łatwością ogniem ich przywitała. Później jeszcze działa wałowe reduty najprzód kartaczami, a potem kulami ich ścigały. Całe równe i rozległe pole zasłane zostało huzarami i dragonami; a ponieważ mundury huzarskie były ponsowego koloru, całe więc pole w czerwoną szatę się odziało. Wieleśmy tam pysznych koni nabrali; żołnierzom naszym dostały się kosztowne mundury oficerskie i inna bogata zdobycz; bo u huzarów gwardyi sama najbogatsza młodzież z pierwszych szlacheckich rodzin moskiewskich służyła. Zapalczywość ich w nacieraniu była taka, że część tej jazdy na rogatki mokotowskie śmiało napadła. Tam nasz żołnierz, stojący na szyldwachu, spuszczeniem szlabanu cały pęd zatrzymał. Jednakowoż kilkunastu huzarów wpadło do

miasta, gdzie gwardya narodowa i lud warszawski dostali ich w ulicach ujazdowskich pod ogrodem botanicznym i w Bagateli. Skoro tylko uspokoiło się na placu, kazałem ruszyć przodkom od dwóch dział, które byłem zmuszony na placu bitwy zostawić, i wzięwszy z sobą kanonierów do pomocy, także oficera, porucznika Aksamitowskiego, pojechałem działa z pobojuwiska zabrać. Trudno było przejechać po tem polu z powodu mnóstwa trupów i rannych, także wielu koni zabitych. Okropny widok! Moskale, myśląc po powrocie reszty brygady Nostitza, że w tym punkcie stać musi znaczna ilość wojska naszego, szereg armat wystawili, gwałtowny ogień rozpoczęli, a tam właśnie nikogo nie było, bo dywizya generała Jagmina uszykowała się częścią za wałami miasta, częścią koło rogatek mokotowskich. Sam tylko z memi przodkami przez to pole maszarowałem, a jednak ani mnie, ani ludziom moim nic się nie stało. Masa kul moskiewskich, padając na to pole, dobijała nieszczęśliwych własnych huzarów i dragonów.

Gdy maszerowałem po pod redutą, wyszły z niej nasze piechury, mówiąc, że nie potrzebują na sam plac jechać, albowiem, skoro tylko kawalerya nieprzyjacielska napowrót przeleciała, komendant reduty wysłał żołnierzy, aby działa do niej przyciągnęli. Jakież było moje zdziwienie, kiedy nie tylko działa zastałem, lecz i kanonierów zupełnie zdrowych. Pochowali się oni byli pod działa i kawalerya nieprzyjacielska koło nich przeleciała. Tylko jeden po grzbiecie był cięty pałaszem, żaden inny szwanku nie poniósł. Kanonier ranny nazywał się Pry-sley, rodem Francuz, który jeszcze podczas organizacyi w Sedanie wstąpił do wojska polskiego, do artyleryi konnej gwardyi. Był długi czas pociągowym w bateryi konnej gwardyi, a potem poszedł na kanoniera wierzchowego do bateryi 2-giej konnej. Po skończonej naszej wojnie wrócił do ojczyzny i jeszcze przed dziesięciu laty był komisarzem policyi w Mühlhausen w Alzacyi. Zabrawszy szczęśliwie działa, wróciłem do bateryi, która obok dywizyi Jagmina za okopami Warszawy stała. Była to właściwie

chwila, w której Moskale dzielny szturm przypuszczali od Czystego na pozycję, gdzie się znajduje ogród, zwany Unruha. Po silnym i gęstym ogniu piechoty można było rozeznać, że się toczy bój zacięty. Wtem przyjeżdża generał Bem i każe mi baterię rozstawić po wałach, dodaje zarazem: „Dwa działa pošlesz pan z oficerem w samą bramę roгатki Jerozolimskiej; uważaj pan to, że za oficera, którego pošlesz, musisz ręczyć“. Chociaż bezpiecznie można było ręczyć za każdego oficera z baterii 2-giej, gdyż takim dobozem oficerów walecznych i oddanych swoim obowiązkom mało która bateria mogła się szczycić, że jednakowo wszystkie te działa, były już w tej chwili rozesłane i przy mnie tylko pluton porucznika Dzierzanowskiego zostawał, sam z nim do bramy roгатki Jerozolimskiej pomaszewowałem i tam stanąłem. Z lewej strony roгатki ustawiony był pluton porucznika Michałowskiego. Dwie kompanie z młodego pułku 17-go piechoty liniowej przysły zameldować się pod moją komendę. Nie długo potem nieprzyjaciel rozpoczął na nas mo-

cny ogień armatami, pod protekcyą którego kolumna dziesięcioletnia generała Murawiewa szturm przypuszczać zaczęła. Broniliśmy się nadzwyczaj szybkim ogniem karczowym, który obsypywał kolumny nieprzyjacielskie; zaś przed roгатką dywizya piesza generała Milberga cudów waleczności dokazywała, zwłaszcza brygada generała Wronieckiego, który na czele pułku grenadyerów dawnej gwardyi i 13 pułku piechoty liniowej szedł trzy razy z największą walecznością, na bagnety, aby zająć karczmę, nazwaną Żelazną, pod Rakowcem, pierwszą na szosie od roгатki. Dywizya ta zbyt była słaba, by się mogła na pozycyi utrzymać, ciągle nacierając na bagnety; cofała się zwolna ku roгатce pod protekcyę ognia naszego. Nareszcie i brygada Wronieckiego musiała ustąpić i stanęła za palisadami roгатki. Zastawszy mnie tutaj, generał Wroniecki zwrócił moją uwagę, że z prawej strony wejścia do miasta nie było żadnej artyleryi. Rozlokowałem tedy działa moje stosownie do tej przestrogi i rozpocząłem na nowo ogień. Ale na nową znów

trudność natrafiłem, bo we wale otaczającym miasto nie były powycinane strzelnice ani porobione wjazdy, tak że musiałem bez żadnego widocznego celu, tylko w kierunku strzałów nieprzyjacielskich mój ogień kierować. Tyralierzy moskiewscy, z ochotników gwardyi uorganizowani, z wielką śmiałością prawie pod same wyloty dział moich podchodzili. Uważając na ruchy nasze, skoro tylko dział miało strzelać, kładli się na ziemię; po strzale zaś powstawali i strzelali do nas. Wielu oni ludzi naszych pokaleczyli i pozabijali.

Jak się tu było bronić! Młody żołnierz z 17-go pułku, pierwszy raz w tak silny ogień wprowadzony, z ciężkością dał się utrzymać na miejscu i niepodobna było prowadzić go do ataku, chociaż oficerowie sami naprzód wybiegali i chcieli za sobą pociągnąć podwładnych na tyralierów moskiewskich. Tylko więc z frontu trwała obrona, gdy nagle huk boju piechoty na Czystem zupełnie ustał. Z prawego mego skrzydła ciągnął się szereg domów ogrodami otoczonych pod sam wał miasta, który to

szereg, łącząc się z jednej strony z ogrodami na Czystem, z drugiej z ogrodami za rogatką Wolską, ułatwiał obronę dopóty, dopóki całe Czyste było w naszym ręku. Lecz skoro raz ogród Unruha po morderczej obronie piechoty zdobyty został, masa piechoty moskiewskiej miejsce to zajęła. Zatrzymała się na chwilę owa piechota, a wysławszy przed sobą tyralierów, zaczęła się zwolna posuwać, postępując wzdłuż tych domów i ogrodów, tak na prawo, jak i na lewo ogrodu Unruha. Piechota polska, rozstawiona wzdłuż wałów miasta w rzadkich i małych oddziałach, widziała się zmuszona ustępować ku środkowi miasta. Tyralierzy, oczyściwszy z piechoty polskiej przestrzeń znajdującą się przed kolumnami nieprzyjacielskimi, napadli wreszcie na moje stanowisko. Tym sposobem, z frontu i z boku atakowany, widząc ile ludzi i koni ginęło, również zniecierpliwiony, że ta młoda piechota mało co mi pomagała, zsiadłem z konia, zabrałem dwie one kompanie piechoty i wprowadziłem je między domy, gdzie stary żołnierz z łatwością mógł się oprzeć nieprzyjacielowi.

wi i tak je zostawiwszy, sam do moich dział wróciłem.

Zaspokojony z boku, zająłem się obroną frontową, która coraz trudniejszą się stawała, bo coraz liczba tyralierów rosła, a ich zuchwalstwo wzmogło się do tego stopnia, że już o kilkanaście kroków do dział się zbliżyli. Gdy mi zaczynało brakować kartaczy, przywołałem podoficera i kazałem mu jechać po nowe ładunki kartaczowe, które zostawiłem był w parku rezerwowym pod folwarkiem świętokrzyżkim. W tym momencie wypadła z poza domów piechota moja, ścigana przez tyralierów moskiewskich. Kanonierzy zaczynają wołać: „niech się kapitan strzeże, bo Moskał celuje na kapitana!“ Obracam głowę, by zobaczyć, skąd mi grozi niebezpieczeństwo, gdy nagle padł strzał. Siedziałem właśnie na koniu, obok mnie podoficer stał pieszo, a tyralier moskiewski, oparłszy karabin o drzewo, wygodnie do nas mierzył. Widać jednak, że mu działa moralnie imponowały, bo nie trafił pomimo bliskości mety ani we mnie, ani w podoficera mojego. Chcia-

łem na nowo zmusić piechotę, by natarła na nieprzyjaciela, lecz już było za późno, albowiem już nie tyraliery tylko, lecz kolumna pułku Siemionowskiego gwardyi ruchem szturmowym na moje stanowisko maszerowała. Zostawiony bez żadnej asekuracyi, wobec batalionów moskiewskich, z wielkim krzykiem *hurra* atak przypuszczających, chciałem przynajmniej działa uratować i dałem rozkaz do zaprzodkowania. W mgnieniu oka rozkaz wykonano; pierwsze działo już odjeżdżało, kiedy drugie, źle zaprzodkowane, bo łańcuch łączący przodek z lawetą nie był założony, w pierwszym ruchu upadło na ziemię. Na mój krzyk: „jako, kanonierzy, dacie sobie zabrać armatę?” ani jeden z tych walecznych żołnierzy na koniu nie został, wszyscy przypadli i działo powtórnie zaprzodkowali. Już też i nieprzyjaciel był między nami. Grenadyer gwardyi moskiewskiej, pochwycawszy mego konia za cugle, do mnie się dobierał, lecz z łaski Opatrzności potrafiłem się go pozbyć. W tej chwili konie pociągowe od działa, przestraszone strzałem i krzykiem, zaczęły unosić;

pociągowi dodawali mi jeszcze animuszu batem, tak że z całym impetem rzuciły się wprost na grenadyerów, do pewnej zdobyczy biegnących. Moskale usunęli się, unikając tego napadu, działo leciało jak wiatr, jaszczyk za nim, kanonier wiszorzysta machał wiszorem w prawo i w lewo, ja znów pałaszem bagnety odbijałem. Wkońcu przedarliśmy się szczęśliwie przez środek licznego nieprzyjaciela. Jak się to stało, wytłómaczyć nie umiem; dość, że z łaski boskiej przeprawiliśmy się szczęśliwie, i że pierwszą boczną uliczką dostałem się wraz z mojem działem na ulicę Królewską, a następnie na ulicę Nowy Świat, gdzie całą baterię drugą zastałem zebraną. Była nateczas może godzina 7 wieczór. Szczególniejszy mnie widok uderzył na Nowym Świecie. Przy ślicznym i ciepłym wieczorze - wszędzie okna po domach pootwierane, ludność cała warszawska (w tem głębokiem przekonaniu, że gdzie wojsko polskie walczy, tam zawsze bezpiecznie) snująca się po ulicach, damy i panowie, spacerujący sobie w letnich ubiorach, na twarzach wszystkich wy-

raz ciekawości, ale bez żadnej trwogi. Zobaczywszy nas zasmolonych, zakurzonych i krwią nieprzyjacielską zbroczonych, zaczęli nas otaczać, o wszystkim, o wszystkich wypytywać. Wtem nadjeżdża generał Bem i oświadcza mi: „Kapitanie, nieprzyjaciel opanował roгатki: Mokotowskie, Wolskie i Jerozolimskie. Pan staniesz i zajmiesz Nowy Świat, obsadzisz ulicę Królewską i wszystkie inne ulice do nich od rogatek prowadzące. Panu powierzona jest tak ważna obrona, od niej zależy ratunek całego wojska. Nie daję żadnych dalszych dyspozycji, bo kapitan wiesz, jaka tu odpowiedzialność i pomiarkujesz, co masz czynić. Przestrzegam tylko, że Moskale na pustych placach między roгатką Jerozolimską a ogrodami Ujazdowskimi, mają wielką liczbę granatników“. Generał odjechał, a ja natychmiast wydałem rozporządzenia plutonom, gdzie i jak mają się ustawić; sam zaś, z plutonem porucznika Aksamitowskiego, stanąłem pod domem, dziś, jak mi powiadają, pałacem hr. Kosakowskich. Już zmierzchać się zaczynało, byłem więc przekonany, że

jeżeli Moskale zechcą miasto zdobywać, to uczynią to dopiero dnia następnego ze świątem. W tem przekonaniu, że mam czas po temu, zostawiwszy porucznika Aksamitowskiego przy działach, sam na prędcie wpadłem do stryjenki mojej, księżny Teresy z Lubomirskich Jabłonowskiej, która wraz z dziećmi swojemi mieszkała niedaleko od mego stanowiska we własnym domu, na rogu ulicy Nowego Świata i Wareckiej. Dom ten jest dziś, jak mi mówiono, własnością hr. Szembeka. Jechałem z myślą oświadczenia, że nieprzyjaciel już w mieście, oraz by uwiadomić stryjenkę o rozkazie, jaki otrzymałem, bronięcia do upadłego stanowiska blisko jej domu. Wchodzę i zastałem moją stryjenkę, jej matkę księżną Michałową Lubomirską, hrabinę Amalię Załuską, dwoje małych dzieci z guwernantką, panów Tadeusza Wielerzyńskiego i pana Widala, siedzących spokojnie koło stolika, podczas kiedy liberya roznosiła herbatę. A zatem wszystko po ulicach i w mieście i po domach tak, jakby wśród bezpieczeństwa i pokoju. Tego widoku przez całe życie nie

zapomnę, a nie było stąd ani pół godziny drogi do miejsca, gdzie przez sześć godzin takąśmy zaciętą walkę z nieprzyjacielem toczyli. Tam tyle krwi i tyle okropności, a tu spokój i we wszystkim tryb zwyczajny, codzienny. Opowiedziawszy pośpiesznie zdarzenia dnia tego, wyszedłem co prędzej i wróciłem do mojej komendy. Po drugi raz nadjeżdża generał Bem i uwiadamia nas, że kapitulacya już podpisana, a więc miasto nie nasze; zarazem daje rozkaz zebrania bateryi i wymaszerowania na Pragę, aby tam zaparkować się na Wołowym Targu i dalszych rozkazów oczekiwać. Rozkaz otrzymany wnet uskuteczniłem i ulicami Krakowskie Przedmieście, tudzież Bednarską pomaszerowałem na Pragę, na plac mego przeznaczenia. Uparkowawszy się, rozporządziłem względem żywności ludzi i koni, służbę nocną uregulowałem; sam zaś koło godziny 10-tej w nocy puściłem się do Warszawy, chcąc pożegnać moich dawnych przyjaciół i znajomych, których na zawsze opuszczałem...



BIBLIOTECZKA LEGIONISTY

Tomik I. Karol Różycki: **Wspomnienie o pułku jazdy wołyńskiej** (z mapką).

Tomik II—III. Władysław Bentkowski: **Notatki osobiste z roku 1863** (z 3 mapkami).

Tomik IV—V. Ignacy Prądzyński: **Czterej ostatni wodzowie polscy.**

Tomik VI—VII. Stanisław ks. Jabłonowski: **Wspomnienia o baterii pozycyjnej artylerii konnej gwardii królewsko-polskiej.**

W przygotowaniu :

Tomik VIII—IX. Aleksander hr. Fredro: **Trzy po trzy.**

Tomik X. Dezydery Chłapowski: **Wojna r. 1807** (z mapką).